Nr. 1. Lwów, dnia 1. Stycznia 1880. Rok III.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 MAREK / 5 ZŁR. / 5 RS. / 12 FRANK.

INSERATY PRZYJMUJĄ SIĘ PO ZWYKŁEJ CENIE.

WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA.

NA ROK NOWY.

„ŁOWIEC“ rozpoczyna trzeci rok żywota swego. Odważamy się twierdzić, iż dwuletnie działanie jego nie było bezpożyteczne, lubo o tem nikt prócz naszych myśliwych nie wie, i nikt też o jego losy się nie troszczy. Niejednokrotnie zdarzyło nam się słyszeć z ust ludzi poważnych stanowcze i apodyktycznie wyrzeczone zdanie o „Łowcu“ i łowiectwie w krótkich słowach: „rzecz bez znaczenia — pańska zabawka! — Dziennikarstwo krajowe podawało mniej lub więcej dokładne wiadomości o Chinach i Zulusach, i o tym podobnych nader żywo nas zajmujących przedmiotach — ale o krzątaniu się łowców polskich w celu przysporzenia na tem, zapewne podrzędnem stanowisku, sobie i krajowi pożytku, nic nie wiedziało, — nawet w piątym roku istnienia Ustawy łowieckiej, w trzecim Towarzystwa łowieckiego, w drugim Pisma jego proponowało zawiązanie Towarzystwa w celu uregulowania łowiectwa i podania do Wys. Sejmu projektu Ustawy łowieckiej. Zdawałoby się to być potwarzą, a jednak jest ścisłą prawdą. Wszakże różnorodne, ważne lub mniej ważne, żywotne lub podrzędne sprawy narodowe stanowią jeden, nie do rozerwania łańcuch, ogniwa wiążą się z sobą, a gdy jedno rdzewieje i w końcu oderwie się, całość na tem cierpi, bo łańcuch ów wtedy już nie wstrzymuje niepożytecznych, bo nie swoich, nie z gruntu rodzinnego wyrosłych nabytków. Żadna sprawa, podjęta z dobrą wolą przysłużenia się krajowi, choćby na najniższym szczeblu jego żywotnych potrzeb, nie może być bezowocną, żadna nie powinna być zabawką — każda jest **służbą**, i jako taka winna być uważaną i strzeżoną. Mogą wolne narody bawić się, i może istotnie na polu łowieckiem się bawią — my zawsze nasz Ideał mając na oku, naszą przyszłość na względzie, winniśmy zacną i pożyteczną a gorliwą pracą służyć naszej Ojczyźnie, i zawsze starannie baczyć, *ne quid detrimenti respublica capiat;* a pewniebyśmy jej korzyści na naszem stanowisku ściśle łowieckiem nie przynieśli, gdybyśmy raczej dla igraszki, nie zaś dla Jej dobra sprawom łowiectwa się oddawali. Ów cel nauki, realnego pożytku, twardej służby dla dobra publicznego wytknęliśmy sobie w chwili zawiązywania Towarzystwa

i ogłoszenia Pisma; ów cel z naciskiem powtórzyliśmy, podnosząc go jako program naszego dalszego działania, u progu roku ubiegłego; ów cel przyświeca nam i dzisiaj jako gwiazda przewodnia, która nas prowadzi łącznie z pracownikami na polu wszelkich innych spraw narodowych do zamierzonego kresu — do zapewnienia bytu i dobrobytu naszego narodu. Nie możemy i nie powinniśmy stać odosobnieni, lekceważeni i niedostrzeżeni, bo stanowimy ogniwo w pracy narodowej, może podrzędne, ale również żywotne, jak inne, bośmy żołnierze tej samej armii, mającej wywalczyć zwycięstwo. Kraj winien nie spuszczać nas z oka, podpierać, jeżeli istotnie z pożytkiem pracujemy, karcić, jeżeli błądzimy, wspierać, gdy o pomoc wołamy, smagać nawet bez litości, jeżeli w imię koteryi, dla igraszki, a nie dla dobra powszechnego działamy. A my mamy już poczucie naszej siły i niejakiego żywotnego znaczenia w składzie ustroju narodowego. Wiemy z uznania i poparcia, jakie u społeczności łowieckiej pozyskaliśmy, żeśmy na naszem stanowisku potrzebni i pożyteczni, bo wiążemy się ściśle i organicznie z sprawami niezawodnie wielce żywotnemi, z sprawami przyrodnictwa, rolnictwa i leśnictwa. Jako więc one żywo w każdej chwili rozbudzają uwagę powszechną, tak również łowiectwo nie może i nie powinno być lekceważone. My na naszym posterunku staramy się usilnie pełnić służbę naszą z pożytkiem dla ogółu. Nie świstek poświęcony przyjemnostce łowców, ale pismo poważne, na naukowych badaniach oparte, usiłujemy wysyłać w świat, iżby ono w społeczności łowieckiej rozwijało znajomość powabów przyrody, jej potęgi, jej zbawiennego wpływu na umoralnienie i wykształcenie człowieka, staramy się wykazać wszelkie korzyści, jakie z głębszego wnurzenia się w tajniki przyrodoznawstwa, z racyonalnego i umiejętnego prowadzenia łowiectwa wypływają. Zapewne, iż mimo najusilniejszych z naszej strony zabiegów, dalecy jeszcze jesteśmy od kresu, jakiśmy sobie wytknęli, ale *paulatim summa petuntur,* wolno, lecz pewnym krokiem zdążamy do celu, i mamy nadzieję, że „rozwój i postęp“ na drodze naszego działania, przyniesie istotne dobru powszechnemu korzyści. Odzywamy się przeto z wiarą i ufnością do kraju, iżby nas podpierał i widział w nas gorliwych pracowników na polu dobra powszechnego; odzywamy się do reprezentantów opinii publicznej, aby stojąc na straży wszelkich spraw, i nasze działania bacznem strzegli okiem; odzywamy się nakoniec do zastępu reguły św. Huberta, by nie ostygali w dotychczasowem tak gorliwem wspieraniu naszych pożytecznych usiłowań. Bez takiej pomocy wysilenia nasze byłyby sztuczne, niepożyteczne, jałowe — ta tylko pomoc nada Towarzystwu łowieckiemu i jego Pismu żywotną wartość i znaczenie, ona im zapewni osobną kartę w historyi pracy narodowej.

Pełni otuchy, że nadzieje nasze pozyskania nadal uznania i poparcia nie będą zawiedzione, że wzmocnieni na siłach rozwiniemy z korzyścią dla ogółu działalność naszą — ślemy czytelnikom „Łowca“ na ten Rok Nowy szczere a serdeczne: ***Szczęść Boże!***

Sprawy Towarzystwa Łowieckiego.

Wpisali się do Towerzystwa łowieckiego:

Drohojowski hr. Bolesław
Feuer Jan
Kolesiński Seweryn
Krusenstern hr.
Marynowski Wacław
Niedzielski Stanisław
Paszkowski Franciszek Dr.
Terlecki Alexander
Zbyszewski Andrzej

ZWIERZĘTA ŁOWNE.

ŻBIK.

Do najwybitniejszych rabusiów rodu zwierzęcego należy po rysiu, tygrysie naszej strefy, kot czyli żbik. Nie odwagą zuchwałą, nie przemagającą siłą, lecz raczej podstępnością, zdradliwością i wyuzdaną drapieżnością czyni on niezmierne w zwierzynie szkody. Mniej w grubej — ale natomiast drobniejsza, a szczególnie ptactwo pada ofiarą jego srogości. Na szczęście jest on płochliwym i bojaźliwym, i z tego powodu łupieży tylko wtedy, gdy się czuje zupełnie bezpiecznym, większą zaś część życia przepędza w kryjówkach, które umie sobie starannie obierać. Tępić go należy bezwzględnie, a obok niego również zdziczałe koty, które wychowane przy domowem ognisku, zasmakowawszy w wolności i łupie zdobytym, stają się niemniejszą plagą niższego stanu zwierzyny. Nie ma łaski dla kota w lesie i w polu, a tem bardziej dla żbika lub rysia, względność rozmnożyłaby ich liczbę, a skutki jej dałyby się wnet uczuć w sposób przerażający. Wkrótce zabrakłoby dla

nich łupu w lesie i w polu, a wtedy dobytek domowy mógłby być straszliwie zagrożonym. Nie odbywają się osobne łowy na koty, i często myśliwy wyczekujący grubszej zwierzyny, przepuszcza je; dla tego więc straż leśna winna być w strzelby uzbrojona już w celu tępienia tych nader groźnych dla zwierzostanu szkodników. Cóż znaczy Ustawa biorąca w obronę ptaki spiewające w obec chciwości człowieka, jeżeli kot swobodnie przebiegać będzie knieje i rozłogi odsłonione. Pożytek z kota w łowieniu myszy, o wiele mniejszy, jak szkoda, którą wyrządza. W dalszym toku opowiadania uzasadnimy dostatecznie to twierdzenie, a poznawszy dokładnie przyrodę i tryb życia żbika, umocnimy w sobie silne postanowienie, iż całą siłą i z wszelką starannością niszczyć go a zwłaszcza kota zdziczałego, choćby do nogi należy, a to tem bardziej, iż ostatni o wiele jest pospolitszym wszędzie, jak mniemany drapieżnik borsuk, którego niesłusznie każdy myśliwy dotąd o wiele zaciekłej poszukuje i tępi jak istotnego złoczyńcę — kota.

Żbik, dziki kot, *(felis catus, catus ferus, felis silvestris, die Wildkatze)*, którego odróżnić należy od kota zdziczałego, uważany bywa dotąd powszechnie jako protoplasta kota domowego. Nowsze jednak badania stanowczo się temu twierdzeniu sprzeciwiają. Żbik jest o wiele większy i silniejszy, korpus bardziej zwięzły, ogon grubszy i krótszy, od nasady aż do końca równej grubości, głowa grubsza, czaszka więcej płaska. Jelita jego mają być, według podania Tschudi'ego o $1/3$ część krótsze. Rossmässler utrzymuje, iż raczej kot nubijski *(catus maniculatus)* może być praojcem naszego domowego kota. Wątpliwość ta nie jest dotąd dostatecznie wyjaśnioną, to wszakże pewne, iż oba te rodzaje bardzo są do siebie zbliżone, a to tem bardziej, iż często kot domowy zdziczały łączy się ze żbikiem, a potomstwo wtedy staje się ogniwem ściśle dwa owe rodzaje z sobą łączącem. — Długość ciała żbika dochodzi do 80, ogona do 30, wysokość do 40 cm., waży zaś 8 do 9 kilogr. Włos jego gęsty, bujny i delikatny. wąsy długie, uszy krótkie, sterczące, bez pendzelków, szyja długa, barwa włosa szaroczerwonawa z czarnemi ku bokom idącemi pręgami, ogon czarnemi obrączkami otoczony. Korpus u spodu jaśniejszy. Łapy od stopy coraz czarniejsze, wewnątrz zupełnie czarne, wzrok ognisty, zęby silne i ostre w liczbie 30, z których czasem 3 do 4 trzonowych wypadają, fałdy podniebienia spadają w łuku, ucho trójkątne, ostro zakończone, z długim włosem, brzegi z tyłu mniej zawłosione. Stopy gęsto włosem porosłe. Usta, nos, powieki brunatno-czarne i siwe, pod spodem rdzawo-żółte, szyja biała. Od skroni ciągną się cztery pasma czarnych plam, które się za uszami w odznaczonych wstęgach gubią. Od krzyżów idą dwa ciemne pręgi ku dołowi aż do nasady ogona. Połcie mają niewyraźne plamy, które do brzucha spływają w pasemka, zacierają się jednak coraz bardziej, a na zewnętrznej stronie łap pojawiają się wyraźniej. Ogon gęsto i równo owłosiony, w końcu czarny, obrączki od nasady ku końcowi coraz bardziej się zwierają. Samica mniejsza, barwa więcej szara. Zdarzają się często żbiki jaśniejsze, wtedy stanowią rasę mięszaną żbika z kotem domowym, u takich pasma na grzbiecie są mniej znaczne, na bokach zaś przerywane.

Żbik żyje w Europie, Azyi aż do Chin, z powodu mrozów i braku pożywienia rozszerza się tylko do 48 st. północnej szerokości. Niema go w Skandynawii i Rossyi, gdzie go ryś zastępuje. W Niemczech stale przebywa, zawsze osobno, w lesistych górach, wychodzi z nich włócząc się, i nieraz po kilka miesięcy w miejscu pozostając, w niziny, znajduje się przeto wszędzie w gęstych i zwartych lasach. Częstszym jest w południowej i południowo-wschodniej Europie. W większej znajduje się liczbie na lesistych podgórzach Alp, jak w samych Alpach, a bardzo znacznym jest drapieżnikiem w południowych Węgrzech, Slawonii, Kroacyi, Bośnii, Serbii, Księstwach Naddunajskich i Turcyi europejskiej. W Hiszpanii pospolity, we Francyi nie gęstszy jak u nas, a nawet w Wielkiej Brytanii nie zdołano go wytępić. Nie rozmnaża się, ile dotąd wiadomo, prawie po za kresy Europy, bo w Azyi znany jest tylko w Gruzyi. Dawniej był u nas w górach pospolitszym, w skutek wyniszczenia lasów staje się coraz rzadszym. Częstszym jest jednak jak ryś, a podczas zawalistych śnieżnych zim, zmuszony głodem zchodzi często aż do zagród wiejskich. Gęste, olbrzymie lasy, mianowicie szpilkowe, są jego siedzibą. Im mniej dostępny jest taki las, tem chętniej w nim stale przebywa. Nad inne przenosi skaliste okolice, w których znajduje najbezpieczniejsze schronienie. Zresztą układa się w jamach borsuczych lub lisich, w dziuplach drzew, a w braku tychże w gąszczach lub na zarosłych kępach śród bagnisk. Do jam chroni się w porze zimowej, w lecie zaś, jeżeli wzgląd na młode nie przykuwa go do miejsca pewnego, lubi otwarte miejsca lub dziupła, głównie w celu uwolnienia się od trapiących go owadów. — O ile żbik niedołężniejszym jest w porównaniu z innymi czworonożnymi drapieżnikami w szybkości ruchów, o tyle przewyższa ich własnością łatwego wspinania się na drzewa i skoków, w bystrości wzroku, zwłaszcza w nocy, gdy oczy jego żarem się świecą, w ostrem wietrzeniu i słuchu. Te przymioty chronią go dostatecznie wobec wrogów, zwłaszcza psów, którym w razie potrzeby groźny stawia opór, i srodze ich pazurami i zębami kaleczy. Walka taka trwa do ostatecznego tchnienia. Najwięcej żbików przebywa jeszcze w Czeskim lesie, Karpatach i na węgierskich pustach, jak wiadomo z licznych sprawozdań, również w górach Jurajskich, szczególnie na zachodnich stokach nie mała ich liczba się kryje. W południowej Francyi niedawno jeszcze tak bardzo się były rozmnożyły, iż oddział wojska musiał przeciw nim wyruszyć w celu tępienia tej srogiej dla źwierzostanu plagi.

Żywi się myszami, szczurami, zającami, wiewiórkami, szpiczakami sarnimi, młodemi kozicami, królikami, głuszcami, cietrzewiami, jarząbkami, bażantami, w ogóle wszelkiem ptactwem. Wraz z zmierzchem wychodzi żbik na łowy. Obdarzony ostrymi zmysłami, ostrożny i przebiegły, pełzając bez szelestu, lub cierpliwie zaczajony, staje się dla drobnej i średniej zwierzyny nader groźnym. „Bystro rozpatruje się w nocy — opowiada *Dietrich aus dem Winkell* — przyczem oczy jego błyszczą jak węgle rozżarzone, wietrzy przenikliwie, słyszy najlżejszy szmer, a do tego przyłączają się niedostrzeżone pełzanie, wytrwałe czaty i pewny skok. Któż nie widział zdradzieckie podsuwanie się domowego kota pod upatrzonego ptaka? Tak samo zbliża się żbik do łupu, do ptaka na gnieździe, do zająca w kotlinie, lub królika w norze, do wiewiórki na drzewie. Jednym skokiem spada na grzbiet grubszej zwierzyny i w okamgnieniu przegryza tętnicę na karku. Gdy skok chybiony, nie pędzi za zwierzem, lecz szuka nowej pastwy. Na szczęście głównem jego pożywieniem są myszy i małe ptaki, rzadko rzuca się na większą zwierzynę, jednak istotnie opada sarny i cielęta jeleni i pokonuje je. Przy jeziorach i strumykach czatuje na ryby i wodne ptactwo, i łowi je z zadziwiającą zręcznością. Wielkie szkody czyni w zagajnikach, a największe w bażantarniach, w których tępi wszystko do nogi. Nawidza zbliżone ku lasom kurniki i gołębniki, a jak stary Döbel utrzymuje, wynosi nawet ze wsi włościanom drób".

*

Jak kot skrada się zwykle, pełzając po ziemi, pod upatrzony lub zwietrzony łup, a dosięgnąwszy go igra z nim, nim pożre. Rabusiem jest z wewnętrznego popędu i amatorstwa, dusi co mu się tylko nadarzy, choćby nawet żołądek jego nie łaknął pastwy. Co do pożytku i szkodliwości, jakkolwiek wyuzdana drapieżność jego dla żadnego z badaczów nie jest wątpliwą, podzielone są zdania. Brehm mówi: „Jak wiele żbik naraz myszy łowi, najlepiej stwierdza podanie Tschudi'ego, który znalazł w żołądku żbika szczątki 26 myszy. Kał, jaki Zelebor przy jamach zamieszkiwanych przez żbiki znalazł i badał, zawierał po większej części resztki kości kun, tchórzów, gronostajów, łasic, chomiaków, szczurów, myszy leśnych, wodnych i polnych, susłów, wiewiórek i ptaków. Gdy wszakże myszy zawsze przeważają, to staje się wątpliwością, ażali szkody, jakie żbik w niższym zwierzostanie wyrządza, nie są mniejsze, jak pożytek. Myśliwy wprawdzie nie skruszy dłań swego serca, ale leśnik i rolnik wdzięcznym mu będzie niezawodnie. Zelebor występuje w piśmie łowieckiem stanowczo w jego obronie, a ja zgadzam się z nim, ale warunkowo. Żbik często przynosi szkodę, ale staje się też pożytecznym, niszczy więcej szkodliwych zwierząt, jak pożytecznych, nienawidzi go myśliwy, ale kocha całą duszą leśnik i rolnik".

Tylko podczas *marcowania* lub pielęgnowania młodych żyje żbik w towarzystwie, zresztą zawsze odosobniony. Nawet młode bardzo rychło opuszczają matkę i samotnie upędzają się za łupem. W takiej włóczędze przesypia żbik dnie w kryjówce, i często łupieże przez niego popełnione, bywają przypisywane lisowi. W zimie opuszcza dosyć często las, i zjawia się w odrębnych krzaczystych zaroślach, lub podkrada się nawet do zagród wiejskich, a Lenz twierdzi, iż na Węgrzech zwykle żbiki w zimie w stodołach się chronią. Pietruski opowiada, iż „w r. 1841 w Styczniu ułowiła włościanka starego kocura podczas śnieżnej, zawalnej zimy na strychu swojej chałupy w następujący sposób. O 4tej godzinie z rana obudziły ją kury trzepiące się i krzyczące na strychu. Rozumiejąc, że się tchórz zakrada, wybiegła z kijem w ręku, lecz zobaczywszy pociemku coś daleko większego, nie wiele myśląc tak dobrze w łeb maczugą ugodziła, że się przewróciło, poczem na ów hałas przybiegli mąż, dzieci, słudzy, i przygłuszonego dzikiego kota złapali i związali".

Marcuje żbik w Lutym, *pomiata* w Kwietniu, brzemienność trwa 9 tygodni. W okolicach, w których w większej liczbie się znajdują, ma według twierdzenia Dietricha wrzawa w porze marcowania srożących się względem siebie kocurów być przeraźliwszą, jak po wsiach i miastach. Kocur aż do tej pory żyje samotnie, w Lutym szuka samicy, miaucząc tęsknie i pieszczotliwie, ona przyjmuje karesy, lubo się wzbrania, zapewne mniej jak kotka domowa, nie może bowiem mieć wielu współzalotników. Kocury staczają z sobą srogie walki, i nieraz zdarzyło się już znaleść martwego kocura jako ofiarę zalotów. Samica rozdziela za nadto gwałtowną natarczywość gęste policzki, i nie okazuje sympatyi dla wybranego, przyjmuje zawsze zwycięscę w walce. — Zdaje się być rzeczą pewną, że dzikie i swojskie koty płciowo się z sobą łączą, lubo wcale nie są sobie przyjazne. Niemeyer opowiada, iż w okolicy Hildesheimu zabito w ogrodzie leśniczego dzikiego kocura w chwili, gdy swojskie koty wyprawiały w najlepsze muzykę weselną. Leśniczy zapewniał, że kocur szedł ślepo za owym głosem, nie troszcząc się wcale o to, co się w koło niego dzieje. Zastrzelono też niejednokrotnie koty, które słusznie za mięszańce obu ras uważano. — Kotka brzemienna pomiata w jamie borsuczej lub lisiej, w rozpadlinie skalnej, w dziuple lub innem dobrze ochronionem miejscu pięć do sześciu kociąt, które rodzą się ślepo, i nader podobne są do domowych. Karmi je i ochrania starannie. W pierwszych tygodniach stacza z kocurem, któremu chciwość krwi i zarłoczność nawet własnego płodu oszczędzać nie dozwala, krwawe walki. Młodych ślepota trwa zwykle do 13 dni. Gdy przestają ssać, dostarcza im matka myszy i innych gryzoniów, kretów, ptaków. Kotka nie opuszcza i nie zmienia gniazda, napastowana przez ludzi ucieka z niemi, i unosi je w pysku, nie rzuca się wszakże w celu ich obrony, owszem opuszcza je, co stwierdza Lenz: „W r. 1856 wyszedł mój cieśla o 500 kroków od domu w gąszcz, gdzie dzikie króliki w wielkiej ilości się wywodziły, i usłyszał w jamie króliczej rozszerzonej pisk jakoby kociąt. Wielce był uradowany z znalezienia gniazda kociego, począł więc grzebać, i znalazł troje dzikich kociąt wielkości szczurów. Włożywszy je do swego fartucha, spostrzegł starą w pobliżu przemykającą z nastawionemi uszami, która jednak nie miała wobec niego postawy groźnej, i wcale nie myślała go niepokoić. Była większą od zająca z prawdziwie dzikiem ubarwieniem włosa, z krótkim grubym ogonem. Młode również jużto barwą włosa, już nader odmiennym ogonem na razie oku jego jako dzikie się przedstawiły. Dziwne, jak natura włożyła w te małe bestyjki dzikość niepohamowaną, drapały, kąsały i pryskały z niezmierną złośliwością. Próżne były usiłowania oswojenia ich i wychowania, nie chciały ani jeść, ani pić, i rozbijały się w złości na śmierć".

Po krótkim czasie drapią się młode ochoczo na niższe i wyższe drzewa, których konary są odtąd miejscem igraszki dla nich, w razie niebezpieczeństwa zaś schronieniem. Przyciskają się do nich, a podobna barwa ich futra do zieloności liścia sprawia, iż nader trudno je śród gałęzi odszukać. Toż samo czynią i stare, a tak zręcznie kryją się na drzewach, iż nawet wtedy, gdy się je widzi wskakujące, lub gdy je pies na nich oszczekuje, należy starannie każdą gałęź przeglądnąć, aby je zaczajone wykryć. Pocieszne są igraszki kociąt, ale tylko wtedy, gdy się zupełnie swobodnemi czują. Wzmógłszy się na siłach, porzucają matkę, i już odtąd w odosobnieniu rozpoczynają zawód łupieżczy. Rozrastają się do trzeciego roku, ale już po 10tym miesiącu zdolne są do zapłodnienia.

Żbiki żyją zwykle 12 do 14 lat, niekiedy dosięgają zgrzybiałej starości lat 20. Choroba lub starość rzadko je gubią, najczęściej giną w skutek walki z sobą lub z ręki człowieka. Koty domowe podlegają wynędznieniu z powodu, jak niektórzy utrzymują, częstego spożywania myszy, może i żbiki padają ofiarą tej choroby? Skaleczony przez psa wściekłego, zaraża się wścieklizną, a wówczas straszne szerzy w koło zniszczenie. Życie żbika jest nader twarde, lecz u niego także nos jest najdelikatniejszą częścią, a jedno uderzenie pozbawia go życia. Głos żbika podobny do kota domowego, ale ostrzejszy i donioślejszy.

Oswojenie żbika jest niemożliwe. Stwierdzają to wszyscy, którzy młode żbiki wychowywać pragnęli. Rzadko przeto można widzieć żbika w klatce, a oswojonego — nigdy. Wielkiej trzeba staranności i uwagi, aby stare żbiki, nawet z niewolą już obyte, przechować zdrowe i żywe, zwykle udaje się to tylko przez krótki czas, giną bowiem w skutek szalonego rozbijania się, dzikości, i wewnętrznego niepokoju. O starym kocurze, złowionym na strychu chaty, jak to wyżej wspomnieliśmy, dodaje Pietruski: „Trzymałem go przez dwa tygodnie na łańcuszku, jadł mięso, pił mleko, ale był zawsze dziki i zły pryskając skakał do ócz ludziom, i zginął w 14 dni po ułowieniu". — Niesłychanie trudną jest rzeczą żywić młode żbiki — zaledwo myszkę jaką lub ptaka pożrą. Na widok człowieka

zachowują się zawsze jakby szałem opętane, ale gdy się czują same, igrają rozkosznie z sobą. Najlżejszy szmer kładzie koniec tej zabawie, swoboda zamienia się w nieufność, a z tej znowu wyradza się złośliwość i niepokój. „Trójkończaste uszy — opisuje Weinland — z wyrazem wzroku, który chyba przez słowa: wszem wrogi! określić się daje, wyczekują charcząc i mrucząc, a czasem wrzeszcząc, na swem miejscu, zielonawo-żółte oczy zdają się ciskać błyskawice, włos nastroszony, a łapa do uderzeń gotowa“. Z czasem ledwo o tyle przyzwyczajają się do swego dozorcy, iż siedzą na miejscu, gdy się on, a nie kto inny do nich zbliży, nie pryskają tak straszliwie, niekiedy pozwolą się dotknąć, a nawet pogłaskaś. Niemożność obłaskawienia żbika jest niezawodną. Jeden tylko Zelebor upewnia, że nawet stare żywcem schwytane dadzą się oswoić. „Naprzód okazywały się — mówi on — schwytane żbiki jako nader zuchwałe i złośliwe, pryskały, rozbijały się z otwartą paszczą, skakały ku żelaznym prętom klatki, gdy się człowiek lub zwierzę jakie ku niej zbliżyli, tak strasznie, iż nawet najodważniejsi trwożnie się cofali, a nawet zabijały jednem uderzeniem łapy każde wsunięte do klatki zwierzę, nie tykając następnie ofiary. Łagodne obchodzenie się z nimi, uspokoiło z czasem ową burzliwość, z każdym dniem stawały się spokojniejsze, przystępniejsze, i brały w przeciągu tygodnia żer podawany im na patyku, i spożywały mrucząc. — Stara z młodemi schwytana samica przyjęła przyjaźnie podsunięte jej kocię, lizała je, i pozwalała mu wraz z swojemi ssać. Obłaskawiła się w przebiegu kilku tygodni o tyle, że mrucząc dobrotliwie igrała z psami“.

Co do żeru, są tak stare jak młode żbiki w niewoli dosyć wybredne. Myszy i małe ptaszki przenoszą nad inny żer, mleko chlepią równie chętnie, jak koty domowe, karmione wołowiną, choćby najlepszą, giną rychło. — Jakkolwiek z powyższego podania Zelebora możnaby sądzić, że żbiki mimo trudności w tym względzie, dadzą się jednak przechować i do pewnego stopnia oswoić, to jednak nie widzimy ich prawie nigdy ani w menażeryach, ani w zwierzyńcach, i to już jest dowodem, iż łatwiej o dziesięć lampartów, lwów lub tygrysów, jak o jednego dzikiego kota. (Dok. nast.)

CIĄG ŁOWCZYCH PTAKÓW W R. 1879.

PRZEZ

KAZIMIERZA Hr. WODZICKIEGO.

Przeżyliśmy zaprawdę rok anormalny, zagadkowy, nie zapamiętany przez najstarszych ludzi, wstrętny dla myśliwych, moknących codziennie, gdyby żaby w kałużach; dla ornitologów z powodu tajemniczych zjawisk; dla rolników pracujących w błocie. Rok to jako nieustannie dżdżysty i mokry, rzeczywiście zgubny. Przypominam sobie rok 1850ty, w którym saniami zwoziłem hreczkę, lecz i wtedy rolnik się niekiedy osuszył, a dziś z pod deszczu przechodzi w śnieg! Wiosna kapryśna, lato bez trwałej pogody, jesień jeszcze kapryśniejsza. Instynkt u żyjątek w przyrodzie — to nieomylny ich drut kierowniczy, to busola niezawodząca nigdy. W tym roku dziwacznym niespodzianki atmosferyczne, mgły i nieprzerwane słoty z ołowianym firmamentem, spóźnione śniegi wiosenne a przedwczesne w jesieni — przerwały im ów drut, zmyliły kierunek, obudziły popłoch i niepokój, jakich nigdy nie dostrzegłem w moich badaniach. Przeciwne prądy wyższych wiatrów wywoływały lot błędny, a chłodna temperatura wypędzała nam część ptactwa, inną zaś część zatrzymywała nad zwykły termin i zostawiała zagadki do rozwiązania. Kto w tym roku badał barometry wszelkiej konstrukcyi, spadające na pogodę, podnoszące się na słotę, ten łatwo pojmie, że owe wyjątkowe atmosferyczne zjawiska, a wraz z niemi i barometr, ów nieodstępny towarzysz myśliwego i rolnika, stały się dla nich przedmiotem podziwu, a nawet niecierpliwości i pośmiewiska. Wszak w Marcu mieliśmy przedwczesną wiosnę, w Kwietniu odnawiającą się zimę, lato słotne, jesień zimną, a we Wrześniu po raz pierwszy obieliły się śniegiem nasze góry, błoto zaległo nasz kraj, po którem niestety łodzią pływać nie można było. Nie zapamiętane zmiany temperatury, długotrwałe niszczące słoty, wskazywały w górze, daleko i wysoko, groźną rewolucyę. Każdy szukał złowrogiego komety na firmamencie, i nie mógł go upatrzyć, w zamian ciekawość jego zawsze była studzoną zimną kąpielą.

Dopiero w jesieni astronomowie odkryli zaburzenia na Jowiszu, ognie i przewroty. Źle się tam dziać musi, kiedy wielki i wszechwładny Jowisz się mocno zarumienił. Dziwne prześladowanie naszej ziemi przez tak oddalonego płanetę, dosięgające i tak już zbiedniałą ofiarę. Jowisz, jak nas mitologia uczy, był wielkim ekscesantem, nadużywał swego stanowiska w swych rozhukanych namiętnościach bez hamulca, w stosunkach, mówiąc pod zasłoną, bezwzględny i niewdzięczny, niekiedy nawet zbrodniczy — dziś dopiero nemezis srogą ręką go chłoszcze, i karze utratą blasku, wpływu i potęgi. Że uwodziciel otrzymuje zasłużoną karę, wprawdzie nieco spóźnioną (minęło bowiem już sporo czasu od epoki, w której dokazywał) i otrzymał chłostę, jak wielu naszych półbożków, to słuszne i sprawiedliwe, lecz dla nas nader bolesne, że my i cała przyroda cierpimy za Jowisza.

Już na wiosnę wykazywałem wyjątkowy ciąg słonek, dziś zwracam uwagę na dziwny przylot przepiórek i chruścieli. W połowie Maja pojawiły się te ptaszęta lecz w małej ilości. Zastawszy zalane łąki, ich ulubione siedziby, musiały szukać przytułku po wyższych ścierniach i wcześniejszych żytach. Widocznie była to śmiała i wytrwała awangarda, gdyż ciąg trwał przez cały miesiąc Czerwiec. Mało wabienia, mało bicia, bo słota najgorętszego przepióra studziła, i chucie przytłumiała a większa część zniesień zalana i opuszczona przez rodziców. Mało pamiętam lat, w którychby było tyle jałowych przepiórek, jak w ubiegłym, i tak spóźnionych piskląt. Po św. Bartłomieju a nawet w pierwszej połowie Września widywaliśmy stadka przepiórcze wielkości wróbli, zupełnie nie do strzelania, słota większą część wyniszczyła. Przypuszczam, że w północnych krajach musiało być niebo litościwsze, jak w Galicyi, ciąg przepiórek był znaczny i wielce spóźniony. Nie oddając się wcale łowieniu przepiórek, zanotować muszę przeszło 300 złapanych pod rozjazd. Pierwszy odlot z ogołoconych łanów (od pierwszej bowiem zarazy stronią od kartofli) rozpoczął się, jak zawsze, we Wrześniu, lecz trwał ciągle, widocznie ptaki były słotą i przeciwnymi wiatrami wstrzymywane w podróży, i wyruszyć nie mogły z naszego kraju do końca Października. Nie pamiętam roku, w którymby strzelano w końcu tego miesiąca nie do pojedyńczych, lecz do stad dosyć licznych. Jeden z moich znajomych zetknął się z ciągiem przepiórek 24go Października, a drugi w końcu tegoż miesiąca. Natrafiwszy przypadkowo na moczarach wielką ilość chruścieli, ubił z nich 30. Widocznie chruściele w znacznych stadach podróż odbywają, i muszą się na stacyach gromadzić, gdyż przed dwunastu laty znaleźliśmy w sąsiednich bagnach wielką ich liczbę, ubi-

liśmy przeszło 40, a noc nam przeszkodziła w prześladowaniu chyżonogich derkaczy, których liczby nawet w przybliżeniu podać nie mogę.

Nieprawidłowość, nieporządek i niepokój badałem na kuropatwach w tym roku. Przezimowała się dosyć znaczna część stadek, wypuściłem, jak zawsze, kilkanaście par, a mniej było ptaków, jak w innych latach. Przyczyny tego szukać należy w zalaniu jaj i spędzeniu przemoczonych kurek. Spotykałem wiele bezdzietnych parek i stad kuropatw, złożonych z 5, 7 do 9 ptaków doskonałych, bez potomstwa. Jeszcze jeden szczegół zaznaczyć należy, mianowicie, że niektóre parki ledwie po czworo i pięcioro piskląt wychowały, widocznie jaja leżące pod bezpośrednim cieplikiem ptaka siedzącego, wykłuły się, jaja zaś pierzem i skrzydłami nakryte, oziębione zostały. Nadto dziwne były niepokój i ruchliwość u ptaków, często zmieniały pole, i przenosiły się przed terminem w oddalone strony, a było to do tego stopnia zagadkowem, iż kilka stad nie wiedziałem gdzie szukać, a zetknąwszy się z niemi, musiałem dalszego poszukiwania zaniechać, leciały bowiem w świat okiem niedojrzany. Szpiegowie, wedety, moje doświadczenie i znajomość miejscowości nic nie pomogły, kuropatwy te były niedostępne. Do niektórych stad przyłączały się bezżenne koguty, wdówki i wdowcy, w kilku stadach znalazłem więcej doskonałych ptaków, jak młodych.

Ciąg dubeltów i kszyków był zagadkowy i wyjątkowy, był on w ogólności spóźniony i dziwnie do dawnych niepodobny. Na najlepszych znanych bagnach było mało ptaków, na gorszych, jałowszych i zimnych więcej, lecz ta ilość zmieniała się niemal co tydzień, przenosząc się z miejca na miejsce. Ptaki były chude, niespokojne, i nie trzymające się, jak to zwykle bywa, po dwa tygodnie tych samych bagien. Główną przyczynę wyjątkowego wychowywania się ptaków przypisuję zalanym łąkom, na których pomimo nieprzemakalnego obuwia, ptaki siadać nie mogły, a szczególnie pasibrzuszki dubelty, troskliwe o czystość i suchość upierzenia. Późniejszy ciąg był liczniejszy, a jak w ogólności były ciągi tego roku zagadkowe u wszystkich ptaków, tak też i u błotnych. Część w żniwa już migrować poczęła, część zaś doczekała się mrozów u nas, i zimną słotą dopiero wypędzoną została.

Już w połowie Września klucze gęsi i trójkąty żórawi sznurowały pod niebiosami, a za niemi znaczna część błotnych ptaków i owadożernych ciągnęła ku wschodowi, a bociany po spóźnionym lęgu opuściły nasz kraj ledwie w ostatnich dniach Sierpnia i w pierwszych Września — zjawisko nie powtarzające się często, gdyż bociany dotrzymują wierniej terminów, jak nasi majstrowie.

Łowiąc na płotki kuropatwy do przezimowania, dowiedziałem się, że ruszono siedm słonek w krzakach. Nie małe było moje zdziwienie, i wyznać muszę, iż nie dowierzałem, gdyż od lat trzydziestu kilku po raz drugi dopiero spotykam słonki migrujące o tej porze. Widocznie były te ptaki, rozkosz myśliwych, wypłoszone zimną słotą ze swych letnich siedzib. Nigdzie w znacznej liczbie nie zapadły, wszędzie jednak dostarczyły mi miłej rozrywki, i do 15 Października zabiliśmy ich 105, każdy bowiem las zapłacił lichwiarski procent słonkami. Mało gdzie już napotkaliśmy słonkę, a pozostałe były tak wyćwiczone i ostrożne, że na okrzyk *tire haut* naganiaczy, wzbijały się pod chmury, i przenosiły się w piąty i siódmy miot ze strachu przed strzałami, i musieliśmy im dać paszport i *sauve conduit* do podróży. Zdawało się nam, że ciąg ukończony, i że to już jest niemieckie *tralarum* pomimo, że był tak przedwczesny i niespodziewany. Koło 10go Października powtórnie bielą pokryły się nasze góry, i tłumnie zleciały słonki na podgórze i niziny. Tłumaczyłem sobie to zjawisko grubą warstwą śniegu i brakiem pożywienia, bo zimno tym ptakom nie dokucza z powodu omszonego ciała, okrytego rzeczywiście delikatnem futerkiem, lecz zjawienie się słonek o tej porze, po ukończonym już ciągu, na Podolu, jest do tej chwili zagadką dla mnie.

Była to istotnie ucieczka armii ptaków z gór, w pomięszanych gatunkach, przypominająca pułki z pod Sadowy; orzechówki, te nasze góralki, nawidzające nas w głodzie; czyżyki, nie znające zbrodniczych ludzi na lesistych wyżynach, zbierające przeto z pod nóg myśliwych wykruszone ziarnka leśnych roślin; gile — te ozdoby naszej zimy, owe korale zaśnieżonych i szronem okrytych drzew, ze skromnemi samiczkami, w habity mniszek ubranemi; mieszkańce gór pomięszane z naszymi gajospiewami, płochaczami, drozdami i kosami — wszystkie zlatywały w popłochu, tłumnie, mięszały się i objawiały nadzwyczajny niepokój, niby w podróży, a widocznie do niej nieprzygotowane. Dziwne sprzeczności! Śród tych pomięszanych gatunków, sikory różnokolorowe i barwiste, jakby śród srogich mrozów, z pniaczków, konarów i pni skrzętnie jajka owadów zbierając, mówiły do nas badaczów: oto koniec jesieni, grób dla przyrody! Przedstawiał mi się obraz zaiste zajmujący białej zimy, ożywiony miłymi naszymi spiewakami. Wtedyto pospiesznym pociągiem odlatywały ponownie żórawie, gęsi, błotniaki i sokoliki.

Zdawałoby się, że przedwczesny ciąg wyruszył z zimniejszych stref, październikowy zaś z umiarkowanych. Powróciłem do domu 25 Października, i rano mój *alter ego* myśliwski obudził mnie wiadomością, że koło domu w małym lasku jest kilkanaście słonek. Gdy nie wstrzymywało mnie zaniedbanie w gospodarstwie, wierny memu przyrodniczemu i myśliwskiemu zawodowi, wybrałem się natychmiast do lasu, gdzie zastałem przeszło 20 słonek, z których ubiłem 15, ciesząc się przytem widokiem dotąd jeszcze przebywających raszek czyli rudzików, płochaczów i drozdów. — Już czarne chmury gawronów wirowały pod ołowianem niebem, zwiastując złowrogiem krakaniem zbliżającą się zimę, skrzętnie przystępując do współki z rolnikami; gdy 28go ściął mróz wodę, i przemroził płatki śniegu leżące po lasach. Już zrobiłem krzyżyk nad ulubionymi ptakami, pragnąc jednak badanie uzupełnić, pojechałem do lasu, i o dziwo — wszystkie ptaszęta, w gorączkowem wprawdzie usposobieniu, jakoby czekały na moje przybycie, a i słonki pilnowane były przez gołębiarzy, dziesiątkujących je dwa razy w roku. To zjawisko słonek po mrozie jest dla mnie wyjątkowem, i dotąd nie badanem. Na wiosnę pędzi je rozgorączkowana krew do nas, mimo, że zwykle wytrzymywać muszą śnieżną i mroźną jeszcze porę — lecz dla czegoż nie odleciały po zamknięciu źródeł pożywienia, kiedy już nie mogły się spodziewać ocieplenia temperatury, jak późniejsze dnie okazały, dla czegoż dopiero w nocy z 3go na 4ty Listopada, jakby na komendę, wszystkie odleciały, nie zostawiając nawet rezerwy?

W tym roku wszystko dziwne, wyjątkowe i zagadkowe, rozbudzające ciekawość badania ciągu w innych krajach. Odleciały ptaki, ubarwiające życie myśliwym w jesieni, zostawiając urocze wspomnienie i tęsknotę za wiosną, za słońcem i ciepłem, a w dzienniku myśliwskim summę 120 słonek zabitych w czterech myśliwych i pięciu dniach. I tak rok ubożący ludność, grożący głodem w chlebodajnym kraju, dostarczył mi w jesieni 499 słonek pomimo, że nader wiele dni zaniedbałem obowiązkowego dla myśliwego prześladowania owych słonek na ciągu.

W początku Listopada, jakby na pogrzeb zgubnego roku, zostawiającego rolnikom srogie wspomnienia na wiele lat, zimne

deszcze zastąpione zostały ciepłymi i mokrymi śniegami, aby podnieść błoto do najwyższej potęgi, i zamknąć pod dachem wieśniaka.

W tym wyjątkowym roku ciekawa jest również wędrówka lisów — zaiste zagadkowe zjawisko, przezemnie dotąd nigdy nie widziane. Chowając i żywiąc zające przez zimę, zmuszony jestem prześladować lisy, i wydaję moim leśniczym listy gończe na tych szkodników. Śmiało twierdzić mogę, że na wiosnę nie zostawiłem więcej jak pięć lisów we wszystkich moich lasach, i ubiłem nawet z pokarmem liszkę w pełnej nadziei, że zginie jej drapieżne potomstwo. Jam lisich nie przybyło w moich rewirach, a nie polując wcale jeszcze na zwierza, strzelaliśmy drobnym śrótem i na nader bliską odległość, — wieleż musiało być lisów, kiedy na ciągu słonek ubiliśmy ich aż 44? Dwa razy w życiu mojem widziałem wędrówki lisów za myszami, raz w Stryjskich, powtóre w Kołomyjskich okolicach, lecz wtedy one wcale mnie nie dziwiły, zbiegły z gór, aby na myszkach używać, — lecz tłumne zjawienie się tegoroczne lisów z odległych okolic, słuszny wywołuje podziw powszechny. Według mego zdania wypędziły je tego roku wody i moczary z nizin do suchszych, pagórkowatych okolic. Uważałem, że w miotach bogatych w słonki, najwięcej było lisów, mniemam więc i przypuszczam, że się zatrzymały u mnie właśnie z powodu tych ptaków, łatwych do złowienia, a polowanie zimowe okaże, czy pozostałe w jesieni zamieszkiwać będą lasy moje, lub też powędrują dalej za myszami.

Kończąc moją myśliwską ramotę, cieszę się słotą i błotem, gdyż te wrogi myśliwstwa, zamknąwszy kolegów w Nemrodzie pod dachem, zmuszą ich do czytania tegorocznych spostrzeżeń.

Olejów, 14 Listopada 1879.

O STANIE RYB W SKAWIE I JEJ DORZECZU

A MIANOWICIE

W SKAWICY, STRZYSZAWCE Z LACHÓWKĄ

PRZEZ

DRA NOWAKOWSKIEGO.

O ile wiarogodne podania świadczą, ilość ryb rozmaitych rodzajów była w Skawie i jej dorzeczu przed 20tu laty bardzo obfita, łosoś np. był rybą pospolitą. Zwolna zaczęło ryb tak ubywać, że łosoś stał się wielką rzadkością, a zarazem zaczęły znikać i inne rodzaje ryb, które się w Skawie znajdowały. Ubywać też musiało, bo ich nie łowiono, lecz wytępiano wszelkimi sposobami do tego stopnia, iż po sklepach i sklepikach sprzedawano różne trutki na ten cel przeznaczone. — W takim stanie rzeczy ś. p. hr. Alexander Branicki, właściciel dóbr Suskich niezawodnie pierwszy w naszej okolicy, a może i w tej części naszego kraju, zwrócił baczną uwagę swoję na pielęgnowanie i ochranianie ryb w Skawie i jej dorzeczu. Z dóbr atoli Suskich, tylko Sucha, a poniżej wieś Tarnawa dotyka od strony zachodniej Skawy, całkowicie zaś do nich należy rzeczka Strzyszawka z Lachówką, która w samej Suchy do Skawy wpada. Nadmienić jeszcze wypada, iż w Suchej Skawa nie dotyka posiadłości dworskich więcej jak 2 klm., w Tarnawie może nieco więcej jak 2 klm., dalej iż tak Skawa, a bardziej jeszcze Strzyszawka z Lachówką w czasie nawet niedługiej posuszy ledwo się sączą. Przy takim stanie rzeczy chcąc pomyśleć o pomnożeniu ryb w Skawie, należało się przedewszystkiem zabezpieczyć, i to na dłuższej przestrzeni rzeki, iż nikt ryb łowić nie będzie. W tym celu jeszcze w r. 1872 polecił ś. p. hr. Alex. Branicki swej Administracyi w Suchy, żeby weszła w układy z właścicielami brzegów rzek Skawicy i Skawy o wydzierżawienie rybołowstwa, wzbraniając równocześnie Administracyi swej w Suchy, ażeby pod żadnym pozorem sama ryb nie łowiła, i nikomu łowić nie dozwalała. Jedynie kilku osobom pozwolono na całej tej długości wędki używać. — Większa część właścicieli owych zrozumiała myśl tę, i chętnie od r. 1873 rybołowstwo wydzierżawiała. W skutku tego przestano wytępiać ryby w całej rzece Skawicy, która powyżej Makowa wpływa do Skawy, i w Skawie w granicach dóbr Makowskich aż na 5 klm. powyżej Wadowic się rozlewa. — Następstwem tego było, że już w ostatnich dwóch latach zaczęły się czasem pojawiać łososie, a inne gatunki ryb z każdym rokiem widocznie się pomnażały tak, iż tego roku, od wiosny, jadąc brzegami Skawy, można było widzieć nie na jednem miejscu, jak się ryby roiły. — To wszystko wraz z nadzorem kosztowało w przeciągu sześciu lat 1866 złr., a zatem 361 złr. rocznie. — Ów pomyślny skutek byłby daleko większym i o wiele szybszym, gdyby wszyscy właściciele byli rybołowstwo swoje wydzierżawili, znaleźli się atoli tacy, którzy woleli je wydzierżawić włościanom, bo ci obowiązywali się dostarczać im ryb co tydzień. Nie dosyć na tem, skoro w tym roku ilość ryb widocznie się pomnożyła, wypowiedziano Administracyi dóbr Suskich dzierżawę rybołowstwa na znacznej przestrzeni tak, iż ona ze swej strony zmuszoną się ujrzała do zaniechania dzierżawy rybołowstwa na innych miejscach, bo byłyby jej pozostały części Skawy, nie będące z sobą w związku. Tak więc obecnie, jak dawniej, rozpocznie się zapewne tępienie ryb na całej prawie długości Skawy. Mówię tępienie, bo tam, gdzie zwłaszcza włościanie dzierżawią rybołowstwo, odbywa się łowienie ryb w następny sposób: Przedewszystkiem łowią ryby w każdym czasie, a skoro tylko woda na Skawie opadnie, to natychmiast zamykają włościanie pewną przestrzeń rzeki, układając wielkie kamienie przez całą jej szerokość, a wtedy jedni wychodzą z hakami, drudzy z sakami. Ci stają przy górnej zagrodzie jeden przy drugim, zarzucając saki w wodę; tamci zaś stoją przy dolnej zagrodzie, i uderzając hakami w kamienie, postępują zwolna ku górnej zagrodzie. Tak albo zabijają ryby, albo je pędzą w górę, gdzie na nie czekają saki. Ledwo tej lub owej rybie uda się ujść zasadzki i przeskoczyć przez owe kamienie, w ogóle giną wszystkie ryby, jakie między temi dwiema zagrodami się znalazły.

Pod takimi warunkami może, według mego zdania, złemu zaradzić tylko z jednej strony prawo surowe a sprawiedliwe, nie odbierające własności właścicielom większym, i nie oddające ryb, części naszego bogactwa krajowego, na łup gminom, które dostatecznie dowiodły, iż jeszcze własnością swoją nie tylko dobrze, ale nawet sumiennie zarządzać nie umieją; z drugiej zaś strony sprężyste działanie Oddziałów Towarzystwa rybackiego i ich członków, bogdajby tylko pouczaniem ludności miejscowej.

I izraelici pośrednio przyczyniają się do tępienia ryb, płacą bowiem za nią potrójną wartość, a przez to zachęcają i ośmielają nieuprawnionych do potajemnego łowienia ryb.

— „Panowie — rzekł mi jeden mieszkaniec Suchy — nie wiecie nawet, jakie ryby w rzece się znajdują, bo najpiękniejsze cichaczem złodzieje niosą do żydów, ci kupują, i zjadają je“. — Takich kłusowników wodnych trudno dopilnować, trudno złapać!

Ile działanie prawa i Tow. rybackiego może być w tym względzie skutecznem, niech mi wolno będzie stwierdzić tem, co następuje: W r. 1865 pod zimę przybyłem do Suchy. Zdziwiło mnie, iż nadzwyczaj mało widziałem ptaków, nawet wróbli, a zdziwienie moje wzrosło, gdy ich na wiosnę prawie nie było, gdy ani jednego nie słyszałem słowika. Kiedy czasem jaki słowik się odezwał, to ucichł niebawem. Gdy wszakże prawo ochraniające ptactwo spiewające, weszło w życie, gdy księża po kościołach, a nauczyciele po szkołach wzięli biedne a miłe i pożyteczne ptaszęta w opiekę; to wnet coraz liczniej pojawiać się poczęły, i nie jeden, ale wiele słowików uprzyjemniają nam powabne wiosenne wieczory.

Tak będzie, da Bóg i z rybami!

Sucha, dnia 3 Grudnia 1879.

POLOWANIA LETNIE I JESIENNE

PRZEZ

ARTURA BARTHELSA.

II. Młode cietrzewie, bekasy.

Zaraz po kaczkach nastają czasy.
Złote dla strzelca, na ptactwo błotne,
A przedewszystkiem idą bekasy,
Tłuste dubelty i kszyki lotne,
Na przemian z młodem ptactwem borowem,
Głuszcem, cietrzewiem, i co mniej łatwo
W kraju z klimatem jak nasz surowym,
I coraz rzadszą dziś kuropatwą,
Bo tej polowej czysto zwierzyny
Co rok mniej widać, dzięki srogości
Zimy potrosze, lecz więcej z winy
(Brakiem opieki i staranności)
Samych myśliwych — ale już za to
Mniej delikatnej, a do jedzenia
Równie wybornej, mamy przez lato
Takie ilości, jak bez wątpienia
Świat cały nie ma — Samych cietrzewi
Tyle się zdarzy w dzień jeden pobić,
Że człek dalipan często sam nie wie,
Co z niemi począć i co z nich robić....
A jeszcze Boże! żeby porządek
I prawo jakieś raz uchwalono,
Choćby to jedno choć na początek,
Żeby po lasach paść zabroniono,
Ileżby tego było! lecz rada
Trudna jest bardzo niestety na to,
Tam gdzie paść wolno calutkie stada,
Po wszystkich borach przez całe lato!
Co wiosną wiejskie psy nie wyduszą,
I co pastuchy z gniazd nie wybierą,
Prócz wilków, lisów. które też muszą
Zadawać ptactwu krzywdy -— dopiero
To co się cudem jakimś uchowa
Rozbija bydło wciąż się snujące,
Że ręczyć można, iż jedna krowa
Zgłumi młodzieży wszelkiej tysiące.
Z sztuk kilkunastu, co biedna starka
Zwabić się kusi w jakiej gęstwinie,
Da się zgromadzić zaledwie parka,
Reszta bez matki nikczemnie ginie;
A jednak jeszcze tego tysiące
Dla nas zostaje, — co dzień do potu
Zhasać się możesz przez dwa miesiące,
A byleś tylko prochu i śrótu
Miał dobry zapas, wyżełków parę,
Stalowe nogi, żelazne zdrowie.
Przyjazną aurę, ochoty w miarę,
A przedewszystkiem wolną myśl w głowie,
To czy na błocie, czy też na suchem
Tak się człek zmacha, tyle natrudzi,
Że chociaż jakim czuje się zuchem,
Da wreszcie pokój. bo i to znudzi.
Dziwna rzecz bowiem, że ta jedyna,
Najdługotrwalsza pasya człowieka,
Dla której nieraz człek zapomina
Co jest, co było, i co go czeka,
Co w nim uczucie wszelkie przeżywa,
Która najstalszą jest z namiętności,
Gdyż nieraz w wieku podeszłym bywa
Jeszcze silniejszą, niźli w młodości,
Ma jednak swoje przesytu chwile,
Niedługie wprawdzie, kilkogodzinne,
Że się nie bawi już człowiek tyle,
I radby znaleść zajęcie inne;
Ale przemienić trudno naturę,
Choć się posprzecza sam z sobą o to,
Znowu pasyjka bierze w nim górę,
Świsnął na wyżła, i marsz na błoto!
A przyznać trzeba, że bardzo często
Słabość ta tylko bywa wymówką
Rozlicznych grzeszków brojonych gęsto,
Na złość przysłowiu: *z kredką i główką.*
Nie posiał grochu, na słonki chodził,
Owies zmarnował, bo dzika zabił,
Dachy poprawić niedźwiedź przeszkodził,
Zaległ podatki, bo wilki wabił...
Że zaś i książki nie wziął do ręki,
I że się wdraża do bezczynności,
Często bezładzia, to Bogu dzięki
Już nie podpada i wątpliwości!
Gdzie zaś Ekonom gospodaruje,
Synek tam czegoś niby się uczy,
Pani indyki tylko rachuje,
A pan się z wyżłem po chrustach włóczy;
Nie wiele tam jest sensu i ładu!
Znajdziesz tam serce i nie złą wiarę,
Ale dobrego nigdy przykładu,
Gdyż dobre tylko wszystko, co w miarę,
To też myśliwstwo, które nałogiem
Jest, nie zaś tylko rozrywką męską,
Staje się z czasem, prawdą a Bogiem,
Szlacheckich rodzin prawdziwą klęską!
Dobrze jest bardzo zajrzeć na błoto,
I przetrząść chrusta, i pójść do lasu,
Lecz przedewszystkiem dbać trzeba o to,
Żeby z rozsądkiem, bez straty czasu,
I to nie tylko czasu, lecz razem
Bez głumu zwierza, a w ogólności
(Chociaż to zwykło uchodzić płazem)

Bez nadużycia cudzej własności.
Bo u nas wcale nie jest nowiną
Taki jegomość, co jak się z własną
Źle szanowaną załatwił zwierzyną,
Gdy mu na własnych gruntach za ciasno,
Włazi na cudze, i po nich hula,
Nie szczędząc macior, kóz ani łoszy,
I co nie weźmie śrót ani kula,
To ci zmarnuje albo wypłoszy.
Taki się u nas zowie myśliwym,
Zamiast poprostu zwać się szkodnikiem,
Troszkę złodziejem, a niewątpliwym
Zawsze półgłówkiem i napastnikiem.
Miły ten talent, z usposobieniem
Do cudzej także sosny, dębiny,
I równie miłem też nawyknieniem
(Dla krotofilnej niby to drwiny)
Szachrować końmi z grudą, ochwatem,
Nawet z początkiem już nosacizny,
Robi szlachcica dowcipnym chwatem,
I daje prawo mu do *tężyzny*.
O nie daj Boże tężyzn tej miary!
Które prócz złego bardzo przykładu,
Zachwianej w miejskich stosunkach wiary,
Wreszcie próżniactwa oraz nieładu,
Ogołacają nadto kraj biedny
Tak ze zwierzyny, że w każdej porze
Brak się czuć daje rozrywki jednej,
Jaką tam człowiek mieć jeszcze może...
Z kąd koniec końcem kwestya się rodzi,
Czy chciwość prawem niepowściągniona
Obok głupoty nie więcej szkodzi,
Jak wszystkie razem dzieła Proudhona,
Bo tych zaręczam, że nikt nie czyta,
Ale jak każde dzikie nasienie,
Sam wiatr je zwiewa, a szatan chwyta,
I nam podrzuca na utrapienie.
Nieraz słyszałem, że to są wady
Tak czysto polskie, że na nie rady
Szukać nie trzeba, lecz czcić, szanować,
Cieszyć się niemi i pielęgnować!
Dopókiż głupstwo i brud z cynizmem,
Związek mieć będą z patryotyzmem!

(Ciąg dalszy nastąpi).

WSPOMNIENIA Z ŁOWÓW NA DZIKI

PRZEZ

KAZIMIERZA Hr. WODZICKIEGO.

Dla mnie wcale nie jest wątpliwością wytwarzanie się mieszańców z swojskich świń i dzików, przeistaczających się w dalszych prokreacyach na odmiany łatwe do rozróżnienia od pierwotnego dzika. Stopnie tych odmian nader zajmujące w badaniu i regestrowaniu, są bowiem nieskończone, począwszy od białego zupełnie dzika, przechodząc do srokatych i plamistych, a skończywszy ich szereg na odmianach niewidocznych dla każdego myśliwego, a jednak istniejących częściowo pomimo, że koloryt zwierza do prototypu podobny. Pisząc jako badacz przyrody, używam wyrazu: n i e c z y s t e g o p o c h o d z e n i a dla dzików pochodzących z takich mezaliansów, licznie pojawiających się w Galicyi, przeważnie na płaszczyznach i nad rzekami dębostanem zarosłych. Mięszaniec chociażby był zupełnie do dzika podobny, zachowa jednak w części znamiona charakterystyczne świni, i tak nie dorośnie nigdy rozmiarów czystego dzika, będzie mieć głowę mniejszą, uszy grube czasem nieco wiszące, a nigdy nie będą one lekkie, spiczaste, jak u prawdziwego dzika, któremi strzyże na wzór konia; ogon u niego będzie gruby i ciężki, nie łatwy do podniesienia i zwinięcia w obwarzanek, w końcu nie nabędzie nigdy zuchwałości i odwagi dzika. Czy to w odyńcu, czy w stadzie, na pierwszy rzut oka prawie rozróżnimy pierwotne od mięszańców tak przed psami jakoteż przed nagónką, pierwsze będą najeżone, z czubami między uszami, z ogonkami do góry podniesionymi, z grzywą na karku, z olbrzymiemi głowami i nader wązkimi zadami, a ryjem podniesionym, szukającym wiatru, broniące się z podziwienia godną odwagą, ze zwinnością i zręcznością nader niebezpieczną, nie wydające kwiku w walce i cierpieniu; drugie mniejsze, truchtujące jak swojskie świnie, z uszami rzadko kiedy do góry podniesionemi, bez czubów i grzyw, z mniejszymi łbami, dające się psom dusić, nie stawiające mężnego oporu, z ogonkami wiszącymi, kwiczące w walce jak swojskie świnie. Różnica ta większą jest u dzików, jak u sarn, których wielkość na naszem podgórzu jest tak znaczna, że waga ich zdwaja się wobec sarn niemieckich. Odyńce pochodzenia nieczystego nigdy nie będą miały tych olbrzymich brzytew i szabel zdobiących właściwe dziki, ich kły rzadko kiedy zadadzą psom śmiertelne razy. W wspomnieniach moich zanotowałem wiele dzików tego pochodzenia, w nader zbliżonych kształtach do pierwotnego zwierza, pomimo odmiennego płaszcza. Ubiliśmy olbrzymią samurę w otoczeniu pięciu ciemnych warchlaków, a dwóch srokatych; dalej białego wycinka prześlicznego co do kształtów; a w końcu srokatego i srokatą samurkę dwuletnią.

Te odmiany zdarzają się wyjątkowo, a one dają nam naukę jasno dowodzącą, że krew odwieczna i najsilniejsza zawsze się w potomności odtwarza, i z tej to przyczyny przeważna część mięszańców podobną jest na pierwszy rzut oka do pierwotnych dzików, a dopiero badanie pojedyńczych części ciała wskazuje nam odmiany.

Zbierałem przez 42 lat mego polowania na dziki skrzętnie wiadomości, a spostrzeżenia zanotowane towarzyszą mi zawsze, a jednak mimo niezmordowanych badań i porównań dziś jeszcze nie umiałbym wyjaśnić przyczyn odmian spostrzeganych w pierwotnych dzikach, i miejsc ich pochodzenia. Z pewnością twierdzić można, że są cztery odmiany lub podgatunki typowe powtarzające się od wieków aż do naszych czasów, mianowicie: dzik długi a nie wysoki, najczęściej ciemnej barwy; dzik krótki, wypukły, niby nieco garbaty, na wyższych nogach, karasiowaty, jak go myśliwi w górach nazywają; dalej są ciemne, niemal czarne dziki; a znowu jasne i srebrzyste. Dzik karasiowaty jest katem dla psów, jego rzutność i zwinność wyniszczyć może psiarnię złożoną z zajadłych psów, co mi się niestety nieraz zdarzyło, przeciwnie dziki długie, ciemnego koloru, nie posiadające tej rzutności, nie są tak niebezpieczne, jak poprzednie, których samury nawet zjadały mi psy, czemu trudno uwierzyć, lub ryjem jak taranem uderzając, zabijały walecznych mych pomocników. Widziałem wyrośnięte warchlaki, a nawet między nimi mniejsze, broniące się skutecznie wobec dwóch psów, i taki jeden warchlak gonił za

mną przez kilka minut kłapiąc zębami, spieniony z wściekłości, i byłby ukąsił i przewrócił, gdyby mnie psy nie wyratowały, gdyż ani chwili w tym pospiechu stanąć nie mogłem, aby się zmierzyć i strzelić. Jak u wszystkich zwierząt, tak też u dzików są stopnie intelligencyi, pamięci, odwagi, czujności, pracowitości i lenistwa czyli ociężałości. W tym względzie możnaby krocie wizerunków nakreślić, a jeden do drugiego nie byłby podobnym, i te to różnice stanowią rozkosz upajającą w polowaniu z psami na dziki, a zwracam to twierdzenie w szczególności do odyńców.

Według mego doświadczenia niemal półwiekowego, dziki od pradawna utrzymywały się w odwiecznych lasach Karpat, mając tam obfity żer w bukwie, w truflach i korzeniach, znajdujących się po górskich cieplicach, w orzechach laskowych, a musiały one widocznie bez wysilenia zaspokajać głód, gdyż dawniej nigdy nie słyszeliśmy o szkodach, wyrządzanych przez dziki w górach. Dopiero gdy z wyżyn zchodzić poczęły i rozmnażać się, gdy nastąpiło krzyżowanie z domowemi świniami, stały się dziki straszliwą klęską w łanach. Przed rokiem 1848 nie pamiętam dzików na równinach, wyjąwszy Nadwiśla i Nadsanu, gdzie z Kongresówki nadchodziły, w Karpatach zaś i na Podgórzu były zawsze dziki we wszystkich znanych mi rewirach. Dopiero po kampanii węgierskiej, gdy ciche nasze lasy kolumnami wojskowemi, strażami chłopskiemi, przekradaniem i przechowywaniem się młodzieży, w końcu hałaśliwem strzelaniem zaalarmowane zostały, zeszły dziki na płaszczyznę, i jak Hanibal w Kapui, tak one zakosztowawszy wybornego wiktu, pozostały u nas, i rozmnożyły się nad miarę. Mieszkając wtedy w obwodzie Brzeżańskim, w leśnej okolicy, przypominam sobie kilka stad i odyńców pojawiających się u mnie, a że to był rok urodzajny na bukiew, dziki te pozostały pomimo, że je dziesiątkowałem, rozmnażały się widocznie, i do chwili sprzedania mego majątku w r. 1857, w każdej chwili miałem to polowanie na każdej ponowie. Te to dziki posuwając się na niziny, a spotykając trzody domowych świń pasących się po dębowych lasach i bukowych, wytworzyły ową mnogość mięszańców, dziś nie do obliczenia, w górach pomimo przetrzebienia i spustoszenia lasów przechowały się dziki wszędzie w krwi nieskalanej krzyżowaniem.

Polując w r. 1839 w rewirze Stale, w Mokrzeszowskiem państwie, pamiętam ślimakowe opłotki, w które hukające się domowe świnie wpędzano, a one rodziły niemal zawsze mięszańce, których już było wiele w lasach Rzeszowskiego obwodu, i te dziki rozchodziły się po innych kniejach naszej płaszczyzny. Nie pamiętam nazwiska starego tamże nadleśniczego Niemca, zamiłowanego hodowcy zwierzyny do tego stopnia, że nigdy nie zabijał romansującego ze świnią odyńca mówiąc: „Za mało ich jeszcze“. Nie dziwmy się śwince, i nie potępiajmy jej, że ona szuka swego prototypa okazałego, i że przenosi z nim związki nad te, które zawierała z brudnym i gołym knurem na błotnistem podwórzu. Nader często domowa locha ginie w lasach, dziczeje, a mając dostatek żeru już do domu nie powraca, wywodząc niekiedy kilka generacyi kreolów leśnych. Odyniec uznał powabną świnkę za godną swoich miłośnych zapałów, i często z narażeniem życia opuścić jej nie chce. Kilkanaście razy polowałem na tych świńskich Otellów, ktore w zaślepieniu nawet na podwórza zapędzać się dały, i życiem opłacały swe rozhukane chucie.

W roku 1843, jeżeli się nie mylę, zdarzył się w Księstwie Poznańskiem, w powiecie Krobskim, wypadek nader ciekawy, zasługujący na opis. Wprawdzie nie byłem obecny przy tej reprezentacyi, ale przyjechawszy w kilka dni później, słyszałem opowiadanie naocznych świadków. Jeszcze to wtedy istniały obszerne lasy z olbrzymimi dębami, dziś pływającymi po morzach pięciu części świata. Ponieważ żołędź zrodziła, wpuszczono za opłatą dwóch talarów od sztuki, tysiące świń na zimowlę do lasu. Owóż w tym roku zabłąkał się był tam kilkoletni odyniec, a zwietrzywszy dnia jednego ujmujące, gładkie, okrągłe świnki, rozpoczął konkury, i w tym dniu trzody już nie opuścił. Gdy wieczorem pędzono dworskie świnie do leżącego w pobliżu folwarku, odyniec towarzyszył trzodzie, i nie dostrzegł, że go zapędzono na podwórze, jakoteż, że wrota zamknięto, i rozgorączkowany śród zabudowań rozbijał lochy. Pastuch widząc owego nieznanego mu potwora, pobiegł do dworu, i doniósł o tem zdarzeniu. Wszyscy zawołali: to dzik, trzeba go zabić! i corychlej rzucili się do nabijania strzelb kulami. Należy wspomnieć, iż śród tych wszystkich myśliwych żaden w życiu nie widział dzika, i nie polował na niego, a ponieważ staropolska gadka przeznacza trumnę dla myśliwego w spotkaniu z tem zwierzęciem, zachowano przeto wszelkie ostrożności, posunięte aż do śmieszności. Po trzech stronach folwarku były budynki, a czwartą część czworoboku zamykał mur dosyć wysoki z bramą i furtką. Po drabinach wdrapali się myśliwi na dachy i posiadali na nich, a było ich pięciu, szósty ekonom umieścił się na murze. Rzucano na odyńca kamieniami, aby go od świń odłączyć, lecz żadne strategiczne plany nie odnosiły pożądanego skutku, wreszcie jeden odważył się strzelić z narażeniem życia której z świń. Wtedy odyniec, czując niebezpieczeństwo, rzucił się ku furtce, pchnął ją ryjem i umknął cały szczęśliwie. Nikomu nie nasunęła się myśl, że dzik będzie uciekał tą samą drogą, którą wszedł, nie zabarykadowano furtki, a najzabawniejszym w tem polowaniu był ekonom, który siedząc na murze koło bramy nie miał odwagi strzelić, gdy dzik się borykał z furtką. Można sobie wyobrazić rzadkie miny owych myśliwych po tej katastrofie upokarzającej, że dzika z klatki tak małodusznie wypuścili.

Drugi epizod drastyczny i niepodobny do wiary wydarzył się w r. 1852 w moich oczach, i dziś jeszcze niejeden z moich towarzyszów ów dzień pamiętny wspomina. W Rudnikach, w obwodzie Brzeżańskim, był znakomity tropiciel dzików pobereżnik Fedzio, pijak wprawdzie, jakto niestety często u myśliwych chłopów się wydarza, ale z okiem rysia, przebiegłością lisa, twardego organizmu, szydzącego ze srogości naszej zimy. Otóż czy to Fedzio na złość zrobił, co mi prawdopodobniejszem się być zdaje, czy też sam rzeczywiście się oszukał, nigdy dociec nie mogłem, w obec mnie bowiem zaklinał się, że i on byłby do tego dzika strzelał. W Podhajcach mieszkał zacny i szanowany kanonik Szp......., towarzysz wielu mych wycieczek myśliwskich. W Styczniu zawitaliśmy do Rudnik, a Fedzio zaraz nam doniósł, że razem leżą dwa wycinki, a osobno na kraju lasu duży odyniec. Puściliśmy psy i zabiłem jednego z dwóch dzików, a za drugim poszły psy. Fedzio obchodząc ów na całą okolicę sławny miot *Sorokpotoki* (było tam bowiem 40 parowów, zarośniętych młodą buczyną gęstą jak konopie), upatrzył dzika pod kłodą nad debrą w okrajku gąszcza graniczącego ze staropniową buczyną, pobiegł do nas, a spotkawszy kanonika pytał, czy chce do dzika strzelić. Oczywiście uradowany ksiądz obiecuje znaczną nadgrodę. Podkradają się po dość miękkim śniegu, Fedzio zaleca ostrożność twierdząc, że odyniec duży jak krowa, nareszcie pod kłodą wskazuje czarnego dzika. Kanonik podszedłszy na 30 kroków, wymierzył, strzelił, i co nogi wytrzymać mogły uciekał, chowając się za buka. Gdy odsapnął, pyta pobereżnika, czy leży? Fedzio odpowiada, że ani się ruszył. Wtedy ostrożny myśliwy

rozumując, że lepiej dla bezpieczeństwa jeszcze raz do niego strzelić, podsunął się, i drugą kulę wpakował w odyńca leżącego, i co najciekawsze, że znowu uciekał i chował się za buka, a Fedzio, gdyby Sancho za Donkiszotem uciekał, bojąc się rzeczywiście lub doskonale odgrywając rolę tchórza. Na te strzały pospieszamy na owo miejsce, i zastajemy kanonika z wyrazem spożytego ekstraktu kwasu na twarzy, a Fedzia miętoszącego czapkę baranią w rękach, nieco uśmiechniętego i szepczącego półgłosem: „a to nieszczęście!“ Nikt z nas nie mógł się zorjentować, przygotowani na wyraz tryumfu, widzimy nosy na kwintę spuszczone. Otóż ten groźny odyniec z niezwykłemi szablami miał lewą szynkę przez lisy wyżartą, i musiał w tym leśnym grobie już od tygodnia spoczywać. Fedzio zawsze szydersko się uśmiechał, lecz przysięgał, że on temu nie winien, i opowiadał, jak ostrożnie i strategicznie kanonik postępował w tej groźnej walce. Wieść gruchnęła po całej okolicy, wreszcie dostała się i do Lwowa. Mój zacny towarzysz zmaltretowany ciekawością, żartami i szyderstwem znajomych, po kilku tygodniach pojechał do Lwowa, aby się otrząść z miazmatów pozostałych po walce z odyńcem. Lecz tam go dosięgła kara za zbyteczną ostrożność i zbyteczny instynkt zachowawczy. Siedząc przy stole w restauracyi Dreznera, słyszy wygłoszone swe nazwisko i opowiadanie następujące: „Kanonik strzelił do odyńca, a pomimo, że się tenże nie ruszył, począł uciekać; drapać się na drzewo, na którem zostawił część kapoty, species rewerendy, i dopiero gdy się czuł bezpiecznym, wołał przeraźliwym głosem o ratunek“. Struchlał mój kanonik, zimny pot go oblał, i głosu wydobyć nie zdołał, dopiero po chwili odezwał się w te słowa: „Panowie! to ja jestem owym bohaterem, o którym mowa“ — i opowiedział im całe wydarzenie. Gdy mnie potem odwidził, rzekł: „Wszystko już przebolałem, lecz Lwowskiego pośmiewiska nigdy nie zapomnę“.

Świat twierdzi, że myśliwi kłamią, i to kłamstwo stało się przysłowiem, lecz świat nie poluje, świat nie bada tajników przyrody, nie studiuje rozumu i pamięci zwierząt, i nie wierzy w wyjątkowe przymioty żyjątek na wolności. W dniu 15 Stycznia dają mi znać (mieszkałem wtedy w Brzeżańskim obwodzie), że objechano trzy duże dziki. Wnet kogo mogłem zwerbowałem od gospodarstwa, a myśliwstwo moje codziennie czekało do 10 rano na raport objazdu, pomimo pospiechu jednak już wybiła 12 godzina, gdyśmy wyruszyli. Mój nigdy nieodżałowany Hryńko, złodziej i pijak pierwszorzędny, którego musiałem nieustannie z kryminału lub karczmy wyciągać, mówi mi do ucha: „J. Panie, to dziwne dziki, bo tak furczą, jak wiatr, trzeba się cicho rozstawiać“. Stanęliśmy na stanowiskach, i rzeczywiście dochodziło uszów naszych rechtanie samury, szarże odyńców, kłapanie zębami i furkanie. Zaledwie puszczono tropowca, już Hryńko przybiega, i zadyszany mówi: „Jeden poszedł za granicę, dwa do miotu zwanego Śliwianką“. Ja powiadam: „Tropowiec śladu nie porzuci, a gdy się odezwie, puścić psy, my zaś chodźmy za tropem“. Tropowiec mój Spiewak, weteran niejednej krwawej walki, miał przez odyńca uciętą nogę przy samem udzie, był to istny geniusz psi, rzeczywisty bohater z rzadkiem poświęceniem. Szedł wolno na trzech nogach pomrukując zawsze groźnie, czasem zaszczekał, i znowu milczkiem docierał wiernie tropu, na jego głos cała zgraja psów jakby na komendę rwała się do niego, ufając wytrawnemu doświadczeniu tego patryarchy mojej psiarni, nie zawodzącego nigdy ani myśliwego, ani swych kolegów. Stracił odwagę i natarczywość pierwotną po utracie nogi, lecz na trzech oddawał mi przez wiele lat większe usługi, jak wszystkie psy moje. Skoczyłem na konia, a że to było nie bardzo pewne pole, jechałem po gąszczach, sylabizując tropy. Nie bardzo się wiodło, Spiewak zagłosił pewny tropu, puszczono psy, jedne się puściły za dzikiem uciekającym za granicę, drugie błąkały się, a ja wolno przy okiści jechałem za tropem dzika i tropowca. Spiewak powtórnie zagłosił, odwrócił się jakby towarzyszów nawoływał, po raz trzeci stojąc zaszczekał, a po chwili otoczyły mnie psy, minęły, i wnet rozległa się wrzawa niedoopisania. Prę konia z całej siły, brnę po śniegu, sam zaśnieżony wyskakuję na małą zrębową polankę, i widzę dwa najeżone dziki stawiające się psom, odyńca zasłaniającego samurę. Śliczny obraz, rozkoszne wzruszenie, widok pobudzający krew do obiegu gorączkowego! Spiewak zrobiwszy swoje, siada, pomrukuje, i żałośnie naszczekuje, boleje, że już do walki należeć nie może, Dunaj uchwycił za udo samurę i szarpie portki, Bosak za ogon odyńca trzyma, a Murdzio w gniewie za przednie nogi targa samurę. Dziki psami zajęte nie patrzą na myśliwego stojącego w odległości dziesięciu kroków, zupełnie od śniegu białego. Składam się, lecz strzał nie łatwy, roją się psy z dzikami — nie mogę strzelić. Wreszcie w pewnej chwili rozskoczyli się bojownicy, spuszczam cyngiel przytrzymuje mi strzelba zaśnieżona, a kula idzie w krzaki. W rozpaczy struchlałem, dziki się rozskoczyły, za jednym z nich posłałem kulę, wołając, jak mi potem Hryńko mówił, chybiłem! chybiłem! Wszystkie psy poszły za samurą, a moje dwa wychowanki Murdzio i Bosak, górujące rozumem nad inne psy, za odyńcem. Zsiadłem z konia, otarłem pot z czoła, wielce zafrasowany poszedłem szukać drugiej kuli i śladów. Nabiłem, dostałem się na siodło i jadę wolno za tropem, śledząc pożądanej farby, której niestety nie było. Ujechałem około 1000 kroków, i w chwili, gdy chciałem nawracać konia, słyszę głos ostanowienia dzika i pojedyńczy strzał, wnet wybiega pędem na mnie Murdzio, skacze z radości, myrda ogonem i śmieje się wargami, pokazując zęby. Wołam: husz! husz! piesku, a gdzie dzik! mój Murdzio gambady wyprawia, skacze do pyska konia i skomli, odbiega i znowu wraca, jak gdyby mi pokazywał drogę za sobą. Puszczam konia i jadę za psem, dostrzegłszy, że on za tropem idzie; to staje, to wraca, to znów galopkiem naprzód rusza. Zaciekawiony mimiką wyrazistą Murdzia, spieszę za nim, i przyjeżdżam po kilkunastu minutach do dołu, utworzonego przez dawną węglarkę, w którym leżał ogromny odyniec szarpany nielitościwie przez Boska. Opatrzywszy psy i przekonawszy się, że żaden nie ranny, odpędziłem je i galopem pospieszyłem do trąbki, wskazującej mi trupa. Tam również odegrał się wyjątkowy dramat. Psiarnia rozjuszona dała się dzikowi ciągnąć, a mój duży owczarski pies, jak śnieg biały, skoczył na samurę, wgryzł zęby w kark, poczem taki ciężar dźwigając na sobie, wyszła na myśliwego, który ją celnym strzałem powalił. Gdyby mi mój *alter ego* myśliwski takie zdarzenie opowiadał, nigdybym był nie uwierzył. Jeden pies ciągnął się za uchem dzika, dwa wgryzione w szynki, a biały siedział na grzbiecie. Zginęła samura powalona na ziemię, a psy jeszcze nie puściły, i dopiero z moją pomocą kneblami otwieraliśmy pyski. Lubo miałem kilkakrotnie dowodne psy, to jednak takiej zażartości już więcej nie widziałem. Nie wiem, czy koledzy moi polując z kundysami, zauważali to, że psy bywają najzawziętsze w porze hukania się dzików, przypisuję to mocnemu i nieprzyjemnemu wiatrowi, wychodzącemu od dzików, a że wtedy odyniec jest najcięższy, więc też najwięcej psów ginie. Wesele dzików, to straszny widok, zaiste groźniejszy, jak sceny przy wyborach na Węgrzech! Kilka razy byłem naocznym świadkiem tego obrazu, a raz zadrżałem widząc śnieg w koło krwią

zbroczony, a na odyńcach rany bez końca. Owe ryje spienione, oczy roziskrzone, te szarże wściekłe, cięcia głębokie, rechtanie samur, kłapanie odyńców zębami, rojenie się rozhukanych potworów — zostawiły w mej pamięci żywy i przerażający obraz, który nie wygaśnie do końca życia. Było to w Grudniu, roku nie pamiętam, w stryjskich lasach, gdy duży dzik spokojnie przed naganką na mnie wyszedł. Wymierzyłem dokładnie, strzeliłem, dzik skoczył, i wolno dalej kroczyć począł. Zdziwienie moje było niepospolite, gdy ścigając dzika po uboczy, przekonałem się, że wolno ale bez przerwy posuwa się ku głębokiemu lasowi. Nabiłem strzelbę, poszedłem za tropem i spostrzegłem strugę farby na śniegu. Kiedy się myśliwi zeszli, prosiłem o pozwolenie prześladowania tego dzika bez towarzyszów. Odpowiedziano mi, iż nie potrzebuję chodzić daleko, lecz przeciąć ścieżką, bo on pójdzie do gąszczów bagnistych, lub w drodze się położy. Dobrze mi poradzono, objechawszy bowiem miot, ujrzałem dzika kroczącego z wysileniem pod pagórek do pomienionego gąszczu. Szybko zabiegłem drogę dzikowi, zeskoczyłem, przywiązałem konia do drzewa, i zakradałem się do gąszczu nie wiedząc, że tam się odbywa piekielne wesele w nader licznem towarzystwie. Wszedłszy do środka, usłyszałem szum, kwik, rechtanie, a zbliżywszy się oczom moim uwierzyć nie chciałem, tyle tam było dzików, że cała biała przestrzeń mi się zaczerniła. Pokazało się, że mój postrzelony dzik był starą samurą, hukającą się w tej chwili, kiedy bowiem zbliżyła się do stada, poczęły na nią skakać odyńce, wzajemnie się spychać, ścinać i szarżować na siebie. Widocznie musiało tam być kilka zaślubionych samur, bo co chwila widziałem odyńce wskakujące na nie i prześladowane przez współzalotników. Ranna samura uklękła pod ciężarem odyńca, i powaliła się na ziemię, wreszcie przewróciwszy się na bok życie zakończyła. Wyznać muszę, że śród tej rozjuszonej rzeszy w gąszczu i bezdrzewku, było mi nieco markotno w duszy, dla tego wahałem się, ażali mam strzelić, lub cicho się wynosić, aby myśliwskiemu towarzystwu dać znać o tem ciekawem widowisku. Jak to niestety często w życiu się zdarza, namiętność przeważyła rozum i rozwagę, postanowiłem strzelić, lecz gdy przyszło do wykonania zamiaru, okazały się niemałe trudności, tu bowiem odyńce uganiają za sobą, tu inny jedzie na samurze, a warchlaki z mniejszymi dzikami formalnie się roją jak *perpetuum mobile*, żadnego dobrze na cel wziąć nie mogę. Już stałem tak z dziesięć minut, rozgorączkowany widokiem, może nieco strachem, do którego się pokornie przyznaję, i czułem, że nie jestem w stanie celnie strzelić, tak mi się ręce trzęsły. Nareszcie odskoczył olbrzymi odyniec, pokazując mi białe, zagięte szable, i stanął za liściastym, bukowym krzakiem na połeć. Niby dobrze wymierzyłem i posłałem mu kulę. Jakiż popłoch wszczął się po strzale śród weselnej drużyny — żadne pióro tego opisać nie zdoła, szum, hałas nie do opisania, samury, dziki i warchlaki rzuciły się, przez parów uciekając w przeciwną stronę, pięć zaś ogromnych odyńców, między nimi i strzelany, przesunęły się jeden za drugim truchtem o 15 do 20 kroków odemnie. Wtedy dzięki Nemrodowi i Dyanie zimna krew i przytomność mnie nie opuściły, byłbym z pewnością zginął, dziki były rozjuszone, zapienione i kłapiące zębami. Nieruchomość posągu wybawiła mnie od śmierci, nie miałem odwagi strzelić raz drugi. Uspokoiwszy się nieco po tem szatańskiem weselu, poszedłem za tropem, z radością zobaczyłem farbę, i pocieszyłem się widokiem tropu już odłączonego od innych. Obszedłem jeden i drugi miot, mój dzik idzie dalej, noc mnie zaskoczyła, powierzyłem przeto dalsze śledzenie tropicielowi, i pojechałem znużony nad miarę do domu. Nazajutrz doniesiono nam, że odyniec został w trzecim miocie, lecz mnie za tropem nie puszczono, a gdy wkrótce potem chłopcy krzyczeć poczęli: ratujcie, dzik, dzik! zbiegłem do parowu, nad którym stałem, i spostrzegłem potwóra stojącego na barłogu, nie ruszającego się, z ogonkiem w obwarzanek zwiniętym, i kłapiącego ryjem. Po strzale moim powalił się, a gdyśmy go anatomizowali, pokazało się, że miał na żebrach trzy głębokie cięcia, z których się sączyła blada, wodnista farba.

(Dok. nast.)

KORESPONDENCYE.

10 Grudnia 1879 r.

W ostatnim numerze „Łowca“ wyczytujemy doniesienie z d. 14 Października o niedźwiedziu, który w Lisowicach podczas polowania na słonki wyszedł na jednego z towarzyszów, że tenże z oddalania 24 kroków, nie mając kuli w lufie strzelił śrótem Nr. 2. w komorę, poczem niedźwiedź ryknął, przysiadł i skoczył w gąszcz, gdzie przez 20 minut leżał, i że wreszcie zbliżająca się nagónka wyparła go z tego chwilowego legowiska i napędziła na strzelców. Wtedy to strzelano do niego dwa razy kulami, a raz na 60 kroków śrótem z tyłu za uciekającym, poczem zwierz znikł, a zmrok zapadający nie pozwolił już tego dnia dalej go ścigać. Nazajutrz założono sąsiednie gąszcze, lecz niepodobna było go odszukać, zapewne raniony mocno zaszył się gdzieś w parowie w niedostępnym gąszczu, i nie dał się wyruszyć. — Prezes Towarzystwa Lisowickiego, dbały o sławę Lisowczyków, polecił łowczemu, aby starał się koniecznie wytropić niedźwiedzia, jakoż stało się po jego woli, zwierzę bowiem okazało się na widowni. Skreślę tu ów fakt w krótkości według listownej relacyi starego i wytrawnego myśliwego ks. kanonika Berwida, mieszkającego w sąsiedztwie Lisowic, a nekrolog dzielnego Mysia nieboszczyka niech będzie zachętą do tego rodzaju walki, a oraz przestrogą dla myśliwych, nieoględnie upędzających się za postrzelonem zwierzem. Niedźwiedź mocno postrzelony w Lisowicach obszedł w nocy z 14. na 15 Października lasami miasto Bolechów, a 16. w południe pojawił się na polach i w krzakach, należących do wsi Witwicy, sąsiedniej lasom Bolechowskim. Tam w biały dzień począł rozrzucać owies w kopach złożony, nie żarł go jednak, zapewne w skutek gorączki postrzałowej pozbawiony apetytu. Włościanie tamtejsi spostrzegli tego gospodarza, przewracającego im starannie ułożone snopki i postanowili urządzić walną wyprawę na nieprzyjaciela. Zebrali więc cały arsenał podrutowanych pojedynek, siekier, kołów i tak uzbrojeni udali się dnia 17. na wyżej wskazane miejsce w celu rozprawienia się z szkodnikiem. Przybywszy tam, rozeszli się po krzakach, a spostrzegłszy go strzelali z tyłu siekańcami i lotkami. Na odgłos strzałów zbiegli się inni chłopi uzbrojeni w różnorodne przybory. Niedźwiedź często przysiadywał, zdawało się więc włościanom, że mogą się do niego zbliżyć, niektórzy więc śmielsi zaatakowali go siekierami, lecz niedźwiedź rzuca się pędem za najbliższym, chwyta go zębami za udo, wyrywa kawał mięsa, a powalonemu na ziemię zdziera skórę z głowy. Włościanin w rozpaczliwej obronie uderza niedźwiedzia siekierą po za sobą, poczem niedźwiedź porzuca go i pędzi za drugim, a doścignąwszy chwyta za rękę i przegryza ją przy samej tętnicy. Tem jeszcze nie nasycił pragnienia zemsty, dopada trzeciego i srodze kaleczy mu nogę i rękę powyżej łokcia.

Tak energiczny opór pomięszał szyki bojowe całej armii, która cofnęła się w nieporządku, unosząc z placu boju rannych, a zwycięzca pozostał panem pobojowiska i rozłożył się wygodnie pod namiotem gąszczu. Dnia 18. posłano do Doliny po lekarza powiatowego p. Krzyształowicza, aby rannych opatrzył, a tymczasem włościanie występują ponownie do walki z niedźwiedziem, która niestety także tragicznie się zakończyła. Strzelano do niedźwiedzia bezskutecznie, a on trzech szermierzy pokaleczył, a jednemu rozdarł usta aż do ucha. Dnia 19. posłali zwyciężeni włościanie Witwicy do gospodarza z Cerkownej, zapraszając go z kundysami na łowy. Gdy na wezwanie przybył i psy w krzaki puścił, wnet niedźwiedzia trafiły i poczęły go atakować. Osaczony Mysio bronił się dzielnie, ale ruszyć się nie mógł, czem ośmielony jeden z zapaśników, przystąpił bliżej, a mając nabitą strzelbę ułamkiem nóżki od żelaznej rynki, strzelił mu w łeb powyżej oka. Niedźwiedź z wysileniem konającego raz jeszcze skoczył za strzelcem, a gdy tenże uciekając potknął się i na twarz upadł, przypadł do swej ofiary, ale siły jego już się wyczerpały, dysząc ciężko runął i ducha wyzionął. Cała ta tragiczna scena odbyła się, jak wyżej powiedziano, w sąsiedniej wiosce koło Bolechowa, niedaleko tej kniei Lisowickiej, gdzie niedźwiedź pierwszy postrzał śrótem dostał. Jak sz. nasz referent i inni naoczni świadkowie twierdzą, niedźwiedź po tym strzale śrótowym usiadł, potem ryknął i skoczył w gąszcz, gdzie obległ. Tam leżał przez 20 minut aż do zbliżenia się nagonki, a chłopaki ledwo zdołali kijami i krzykiem wyprzeć go z lęgowiska. — Pan Popper z Wełdzirza kupił u włościan skórę tego niedźwiedzia i pokazywał ją ks. kanonikowi. Skóra jest na sążeń długą, czarna i lśniąca, a oprócz całego śrótowego strzału w lewym boku na przedzie, nie miał innego postrzału, któryby go mógł tak długo w tej okolicy zatrzymać. Miał on wprawdzie dosyć lekkie rany w tyle, zadane przez włościan siekańcami i lotkami, lecz pierwszy strzał w lewym boku Lisowicki znacznie go ubezwładnił i stał się ostatecznie powodem śmierci.

Henryk hr. Łączyński.

Lwów, 18 Grudnia 1879 r.

Już od lat kilku istnieje krajowe Towarzystwo łowieckie, mające głównie na celu przestrzeganie Ustawy łowieckiej. Jawnem jest, iż Towarzystwo to rozwija się pomyślnie, czego najwymowniejszem świadectwem jest znacznie wzmagająca się liczba członków. Nie wątpię, że na obszarach wielkich posiadłości Ustawa łowiecka ściśle jest przestrzeganą, pozwolę sobie jednak powątpiewać, ażali krajowe Towarzystwo w zupełności swemu powołaniu odpowiada, a członkowie Towarzystwa gorąco przejęci są duchem owej Ustawy i swem działaniem ją popierają, znam bowiem wielu członków krajowego Towarzystwa łowieckiego, którzy oprócz wpłacania rocznej wkładki i noszenia odznaki myśliwskiej, nie troszczą się zresztą wcale o sprawy i cele Towarzystwa. Naturalnie wynika ztąd zapytanie, dla czego tak się dzieje — odpowiedź łatwa: członkowie ci prócz roczną wkładką niczem innem do powodzenia Towarzystwa przyczynić się nie mogą, a nie mogą z tej przyczyny, że nie mają po temu żadnej sposobności. Takimi nieczynnymi członkami są mieszkańcy większych miast, mający najlepsze chęci do spełniania obowiązków Statutem Towarzystwa łowieckiego wskazanych, które wszakże chęci rozbijają się, jak już wyżej powiedziałem, o brak odpowiedniej sposobności. Będąc mieszkańcem miasta, a przytem miłośnikiem polowania, szukałem nieraz sposobności spotkania się z szarakiem, a otrzymawszy upoważnienie do polowania na obszarze jednej z gmin okolicznych, przekonałem się niestety, iż prócz przyjemności chodzenia po polach, żadnej innej nie doświadczyłem. Zdaje mi się, iż przyczyny tego przykrego zawodu nie zbyt daleko szukać należy. Grasujące kłusownictwo jest powodem, że na obszarach gminnych nie ma zwierzyny, któż bowiem troszczy się o to, czy na gruntach gminnych wolno polować lub nie, poluje, kto chce, upoważniony lub nie, a skutkiem tego stan zwierzyny coraz bardziej się zmniejsza. Aby więc złemu zapobiedz, wypadałoby przystąpić do krajowego Towarzystwa łowieckiego, a nabywszy prawa członka, upędzać się z amatorstwa i z obowiązku za kłusownikami. Proszę mi jednak wyjaśnić, czy taki członek Tow. łow. może być gorliwie czynnym w miejscowości, na której nie jest do polowania uprawniony, czy znalazłby się ktokolwiek chętny do przestrzegania Ustawy łowieckiej i prześladowania kłusownictwa na terytoryach przez obce osoby dzierżawionych? Wątpię, a wraz ze mną wielu.

Na tej podstawie powstała w szerszem kółku moich znajomych myśl utworzenia nowego Towarzystwa, mającego na celu dzierżawienie prawa polowania na obszarach gminnych w powiecie Lwowskim, niedopuszczanie, aby polowania gminne dostawały się w ręce spekulantów lub przekupniów, ochranianie zwierzyny przez urządzanie wzorowych polowań, a wreszcie prześladowanie kłusownictwa na obszarach dzierżawionych. Tym tylko sposobem stan zwierzyny na gruntach gminnych zwiększyć się może. Myśl ta wnet wykonaną została — oto Towarzystwo już zawiązane, liczy już znaczną liczbę członkow, istnienie swoje opiera na Statutach przez c. k. Namiestnictwo zatwierdzonych, i ma nadzieję, iż wkrótce usiłowania jego pożądanym uwieńczone będą skutkiem. To może nadto obszerne rozpisanie się moje niech służy jako usprawiedliwienie, iż ceniąc zresztą wysoko dążenia kraj. Tow. łowieckiego, ale nie widząc w niem pola do gorliwego działania i rychłego zdążenia do celu, szukałem innych dróg — i znalazłem je w naszem nowem Towarzystwie. Mam nadzieję, iż usiłowania nasze zjednają sobie u ogółu i u Towarzystwa łow. krajow. szczere poparcie, z taką wiarą upraszam o umieszczenie tego pisma mego w „Łowcu". Statuta naszego Towarzystwa, które nosi nazwę: „Towarzystwo myśliwych im. św. Huberta we Lwowie" prześlę bezwłocznie po wydrukowaniu ich.

Ksawery Burzyński,
Sekretarz Tow. myśliwych im. św. Huberta we Lwowie.

Zawiązanie nowego Towarzystwa myśliwskiego, mającego głównie na celu dzierżawienie prawa polowania na obszarach gminnych, a przezto podnoszenie łowiectwa krajowego, witamy najserdeczniej. Że takie Towarzystwo w ścisłym powinno stać związku z Towarzystwem krajowem, tak jak związane są z niem Towarzystwa: Lisowickie, Sołotwińskie, nie potrzebujemy dowodzić. Jesteśmy pewni, że nowo zawiązane Towarzystwo, własnego strzegąc interesu, ochoczo przystąpi do wspólnego i tem skuteczniejszego działania, a tymczasem niech przyjmie od nas najszczersze: Szczęść Boże!

Stary Sącz, 6 Grudnia 1879 r.

Donoszę sz. czytelnikom „Łowca" o następującem dosyć zabawnem zdarzeniu: Dnia 3 Grudnia b. r. o 1ej godzinie po południu wybrało się czterech tutejszych myśliwych na polowanie „na wydeptanego". Ruszono na pola tak zwane zafranciszkańskie, obok miasta położone, tam bowiem zawsze zając pewny. — Myśliwi w oddaleniu o kilkadziesiąt kroków od siebie postępowali ku Dunajcowi. Naraz p. Jakób, najstarszy myśliwy

zawołał: Baczność! jest Kubuś! (w tutejszej okolicy nazywają włościanie zająca Kubusiem). W tej chwili ucichł gwar myśliwski, fajki pochowano, przytłumiono oddech, a każdy z silniejszem biciem serca i z wytężonym wzrokiem postępował naprzód bardzo ostrożnie. Uszedłszy zaledwie kilka kroków p. Jakób grozi palcem, myśliwi stanęli, p. Jakób wskazuje zająca siedzącego na pokładzie, w zaspie tak, że mu ledwie nos dojrzeć było można. Na znak dany przez p. Jakóba przystępują myśliwi na trzy kroki do zająca, odwodzą kurki, i zachowują się wyczekująco. Pan Jakób przykłada strzelbę do twarzy, i woła do zająca: „Panie Jakóbie! wychodźcie, bo już czas na was! — zając siedzi — p. Jakób powtarza drugi raz — ale bezskutecznie. Gdy za trzecim razem odezwał się ten sam głos: „Kubuś wychodź! — zając dał ogromnego susa i zaprószywszy oczy myśliwych śniegiem tak, że wszystkie dubeltówki w liczbie 8 chybiły, umknął szczęśliwie do wikliny nad Dunajcem rosnącej. — Wkrótce z uciechą opowiadano sobie w mieście i okolicy o zdarzeniu, jakie miał pan Jakób z Kubusiem.

Jan Sitowski.

Romaszówka, 12 Grudnia 1879.

Niezwykła w tym roku ilość lisów na Podolu w Czortkowskiem. 6 t. m. jeździłem z chartami, i spotkałem w obrębie trzech ćwierci mili kwadrat. 11 lisów, z których 5 szczułem, i wszystkie złapałem. Podjeżdzałem sankami w sposób, jak zwykle po śniegu na lisy się poluje. W parę dni później uszczułem dwa, a widziałem pięć razem prawie około folwarku mego, w pustym stepie położonego, gdzie nawet w pobliżu krzaków żadnych niema.

9 Grudnia polowano u mnie w 10 strzelb, a że termometr rano 23 stopni mrozu zaznaczał, co i w późniejszych godzinach dnia pomimo ciszy w powietrzu, dotkliwie czuć się dawało, byliśmy w lesie tylko $3^1/_2$ godzin, i wzięliśmy pięć miotów. Zginęło sztuk 70, z tych 1 rogacz, 4 lisy, a reszta zające. W r. 1872 polując raz pierwszy w tej samej kniei, po całodziennem buszowaniu, 8 zającami z kilku towarzyszami zadowolić się musiałem.

Adam br. *Heydel.*

KRONIKA.

W Nr. 11 „Łowca“ Redakcya do korespondencyi z Lisowic dołączyła dodatek nieco ironiczny, że „spotkanie z niedźwiedziem, zwłaszcza niespodziewane, wywołuje w wytrawnych nawet myśliwych wzruszenie“. Jeżeli uwaga ta odnosi się do strzałów, bezsprzecznie jest słuszną, jeżeli zaś ona wywołana wstrzymaniem dalszej pogoni niedźwiedzia, to muszę rzecz objaśnić kilku szczegółami. Kierowałem owem polowaniem, i stałem na przeciwnem skrzydle w tym ostatnim miocie, nie domyślając się nawet, iż strzały padły do niedźwiedzia. Gdy mi doniesiono o tak ciekawym epizodzie, już była godzina piąta, a słońce dawno pochyliło się za góry, zaległ więc wówczas w lesie szpilkowym zupełny zmrok. Mieliśmy nader małych naganiaczy, z dziada, pradziada namiętnie ochoczych do polowania, uważałem przeto jako mój obowiązek nie dozwolić dalszej pogoni, nauczony doświadczeniem, iż niedźwiedź raniony jest nader niebezpiecznym. Rozgorączkowani myśliwi i naganiacze — dzieciaki mogli byli w leśnej ciemnocie kalectwem lub nawet śmiercią przepłacić zuchwałe prześladowanie srogiego zwierzęcia. Jakkolwiek większa część mych towarzyszów gorąco pragnęła szukać w nocy ranionego zwierza, dziś jeszcze doznaję wewnętrznego zadowolenia, żem się tej gorączce stanowczo oparł, i bardzo możliwym nieszczęściom zapobiegł. Dalsze opisy poprą moje zdanie i przekonają dostatecznie o potrzebie ostrożności w podobnych zajściach, ja zaś jako kierujący polowaniem nie mogłem tak wielką odpowiedzialnością obciążyć mego sumienia.

13 Grudnia 1879 r. *Kaz. hr. Wodzicki.*

Nasze uwagi odnosiły się jedynie do strzałów, które — jak sz. korespondent przyzna — nie były, i zapewne nie mogły być przy tyle groźnej niespodziance spokojne i rozważne. Stanowczy opór sz. kierownika polowania wobec gorączkowej namiętności myśliwych i nagonki wysoko cenimy, i widzimy w nim objaw zimnej krwi, doświadczenia i wytrawności myśliwskiej.

Dzienniki neapolitańskie donoszą, że w tym roku pojawiła się nadzwyczajna ilość ptactwa przelotnego w południowych Włoszech, a mianowicie przepiórek jest takie mnóstwo, że sztukę w Neapolu sprzedają po 5 centów (2 sous). *Gaz. Nar.*

Przed kilku dniami odbyło się w Nowosielicy polowanie na dziki. Gdy psy tropiły dzika i obskoczywszy powstrzymały go w dalszym pochodzie, nadbiegł p. Brz. z kordelasem, lecz zbliżywszy się do dzika, zamiast ugodzić go zabójczem narzędziem, wpadł na inny sposób wzięcia dzika w posiadanie, sposób nader łatwy, nie wymagający niczego więcej, tylko zgrabności i odwagi. Oto rzuciwszy się na dzika, powalił go na ziemię, a usiadłszy na grzbiecie, począł wołać towarzyszów polowania. Tymczasem i dzik nie próżnował, ale wszelkich używał fortelów w celu wydostania się z pozycyi, w której po raz pierwszy w życiu się znajdował. Pasowanie się takie blisko ćwierćgodzinne zakończyło się związaniem dzika, którego p. Brz. żywcem zabrał ze sobą.

Kronika.

Nie ręczymy za prawdziwość tego wypadku, wątpimy nawet o nim chyba, że myśliwy miał do czynienia z warchlakiem.

W Gömörskim komitacie na Węgrzech poluje się teraz przeważnie na dziki. W Rosenau zabito niedawno trzy, warchlaka zaś psy zadusiły. Leśniczy Mihalik był tam na polowaniu ze swoją złają, ułożoną z 10 psów. Są między nimi gończe, owczarskie, kundysy domowe, pokurcze pińczów i t. d., ale atakują one dziki wybornie. Mihalik sam zabił ubiegłego roku przed tą różnorodną złają 80, tego roku zaś przeszło 60 dzików. *Presse.*

Pantalowice, 26 Listopada.

Dnia 20 Października polowano w Krzeczowicach w gaju 120 morgowym, i ubito w kilku godzinach w 8 strzelb: 1 rogacza, 12 lisów, 5 zajęcy i 2 słonek. Lis, ów wielki zbrodniarz, którego wszędzie starannie tępić należy, sprawia jednak każdemu myśliwemu wielką emocyę to też dzień ten pozostanie dla nas kilku uczestników tego polowania miłem wspomnieniem, bo rzadko się zdarzy zastać w tak małym kawałku lasu taką ilość lisów. Dla przekonania się, czyli po takiej klęsce pozostał jeszcze jaki lis w tym gaju, wezwał nas kilku myśliwych uprzejmy gospodarz, i oto zastaliśmy jeszcze 6 sztuk, z których 5 legło. Padło zatem razem 17 lisów. Nadmienić należy, że przed kilku laty widywano w naszej okolicy sarny tylko w większych lasach, teraz dzięki Ustawie spotykać je można bardzo często w polach, a w małych laskach są już nawet stałemi. *W. B.*

Kutkorz, 5 Grudnia 1879 r.

W lasach Kutkorskich polowano w 10 strzelców dnia 3 i 4 Grudnia — i ubito na 160 strzałów:

W rewirze Nowosiołki	2 rogacze,	15 zajęcy.
„ „ Kutkorskim	11 „	20 „
„ „ Bałuszyn	7 „	16 „
	Razem 21 rogaczy,	51 zajęcy.

Kilka bażantów uszło bokiem nie strzelanych.

Leśnictwo państwa Kutkorskiego.

Zubrza, 1 Grudnia 1879 r.

Dziś rano wyszedłem z laską w ręku i z psem legawym do lasu. Przechodząc koło jam lisich dostrzegłem tropy, które wszakże śnieg przypruszył, niewiedziałem zatem, czy one świeże lub dawniejsze. Pragnąc się przekonać, ażali lis leży w jamie, lub też do niej wejdzie, postanowiłem śnieg przed jamą zagładzić, aby na nim świeże tropy się mogły odbić. Kiedym się zabrał do gładzenia śniegu, wyżeł psuł mi moją robotę, bo kilka razy przeszedł po zrównanym śniegu. Zniecierpliwiony natrętnością psa uderzyłem go laską w celu odpędzenia, pies zaskowyczał mocno, a po małej chwilce ujrzałem w odległości może 15 kroków lisa uciekającego. Przerażony głosem psa wymknął się on

z jamy, a co dziwniejsze, iż od jamy w bok skoczył na odległość przynajmniej półtora metra, poczem w całym pędzie pomykał. Zdaje się, że płytko w jamie leżał, a czując się zagrożonym, wysuwał się powoli z jamy, miał mnie i mego psa na oku, a w chwili, kiedy wzrok mój w inną stronę był zwrócony, nagle wypadł w szalonym skoku i umknął. Nowy to dowód zmyślnej rozwagi lisa i przebiegłości. *A. P.*

W Kocmaniu, majętności rządowej, trzy mile odległej od Czerniowiec, ubito w jednym dniu 39 lisów i 205 zajęcy. Polowanie odbywa się tam raz na rok tylko. Zarządzcą lasów jest p. Fischer.

Kamienna, 1 Grudnia 1879 r.

Miło mi donieść o wyniku polowania odbytego u p. Edwarda Torosiewicza w Majdaniku granicznym w dniach 7 i 8 Listopada. Pierwszego dnia było bardzo brzydkie powietrze, które utrudniło łowy, ale nazajutrz przy pomyślnej pogodzie poszczęściło się, bo padło 12 kozłów, 1 lis i 11 zajęcy. Strzelano też do wilka, ale umknął postrzelony. Łatwo pojąć, jaka tam mnogość sarn, gdy przy takim nawalnym śniegu, w którym nagonka dobrze iść nie mogła, przy małej liczbie strzelców, bo tylko 14, w dużych, bo przeszło 250 morgowych miotach, przy trudności odróżnienia kozłów o tej porze — tyle kozłów padło. Owoce to starannego szanowania zwierzyny, w czem daj Boże jak najwięcej naśladowców. O nader gościnnem przyjęciu nie chcę się rozwodzić. bo istotnie tego tylko chyba brakło, by sz. gospodarz koła kazał zdejmować staropolskim obyczajem.

G. Głuchowski.

Dnia 1 Grudnia b. r. odbyło się polowanie w Chodorowie, majątku bar. de Vaux, urządzone z prawdziwą znajomością rzeczy przez p. Radzikowskiego. Porządek był wzorowy, a co najważniejsze zwierzyny wiele. Ubito w jednym dniu 26 kozłów, 28 zajęcy i 3 lisy. Miotów brano 9. Stan sarn jest nadzwyczajny i bardzo racyonalnie prowadzony. Liczba sarn jest tak wielką, iż Zarząd lasów czuł się spowodowanym wnieść prośbę do c. k. Namiestnictwa o pozwolenie wybijania starych kóz.

Na dwudniowem polowaniu w Starymsiole u Eks. hr. Potockiego padło 5 dzików. Z tych zabił dwa *à coup-double* hr. Józef Potocki z Expressa.

Dnia 16 Grudnia 1879 ubito w Żydatyczach pod Lwowem w przeciągu czterech godzin 17 zajęcy, 1 lisa i 1 kozła.

Wierzbiatyn, 15 Grudnia 1879.

W dniach 12 i 13 Grudnia polowano w Jezierzanach w lasach p. Stanis. Matkowskiego i p. Mieczysł. Blażowskiego. Pierwszego dnia w kniei 450 morgowej przepędzono miotów sześć, i ubito na 156 strzałów 55 zajęcy i 1 lisa. Nazajutrz w kniei 150 morgowej przepędzono miotów pięć, szóstego projektowanego miotu nie brano, gdyż zaproszeni goście oświadczyli gospodarzowi, że z powodu dość poważnej cyfry ubitej zwierzyny więcej strzelać nie będą. Ubito w tym dniu na 339 strzałów 148 zajęcy, 4 lisy, a 3 rogacze chybiono. Nadmienić tu jeszcze muszę, że w jednym 15 morgowym miocie, w którym zginęło 60 zajęcy i 3 lisy, trzej obok siebie stojący myśliwi zabili sztuk 30. *A. K.*

Dnia 5, 6 i 8 Grudnia odbyło się polowanie w lasach Korolówki u p. hrabiego Alfreda Borkowskiego w 6 strzelb, ubito 169 zajęcy, 3 lisy i 9 kuropatw.

KALENDARZ MYŚLIWSKI

Kraj	Zwierzyna	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październik	Listopad	Grudzień
dla Galicyi	Słonka												
	Jeleń												
	Kozioł (rogacz)												
	Łanie, kozy, cielęta i szpiczaki, kury głuszców i cietrzewi												
	Zając												
	Borsuk												
	Lis												
	Jarząbek												
	cietrzewie i głuszce												
	bażanty i kuropatwy												
	przepiórki i dzikie gołębie												
	dropie i pardwy												
	ptactwo błotne w ogólności												
	ptactwo wodne w ogólności												
dla Królestwa Polskiego	Ptaki błotne i przelotne, bekasy, dubelty, kaczki, gęsi, nurki, kuliki, chruściele, czajki, kurki, gołębie, przepiórki, drozdy i t. p.												
	Zające, głuszce, cietrzewie, kuropatwy, jarząbki												
	Samice: łosi, jeleni, sarny												
	Zwierzęta i ptaki drapieżne, równie jak dziki i samce: łosi, jeleni, kozły, dzikie kaczory, głuszców, cietrzewi, jarząbków — słonki na ciągu												
dla Prus — W. X. Poznańskiego	Łosie												
	Samce: jelenie, daniele, sarny												
	Samice: jelenie, daniele, sarny, cielęta												
	Kozły												
	Kozy												
	Spiczaki												
	Borsuk												
	Koguty: głuszców, cietrzewi, bażantów												
	Kaczki												
	Dropie, bekasy, łabędzie, dzikie ptactwo wodne i błotne, gęsi, czaple												
	Kuropatwy												
	Kury: głuszców, cietrzewi, bażantów, jarząbki, przepiórki, zające												
	Reszta zwierzyny łownej												
dla Bukowiny	jeleń: Samiec												
	Samica jeleń, cielę												
	Samiec jeleń, cielę												
	Kozioł												
	Sarna, koza i koźlę												
	Samiec koźlę												
	Zając												
	Głuszec: Głuszec kura												
	Cietrzew: Cietrzew kura												
	Jarząbek												
	Kuropatwa												
	Dzika kaczka, dubelt, kszyk												
	Przepiórka												

Pola niebieskie oznaczają czas ochrony.

Odpowiedzialny za redakcyę **Wład. Zontak** ul. Teatralna Nr. 18. Nakładem galic. Towarzystwa łowieckiego.

Z I. Związkowej drukarni we Lwowie, Hotel Zorża.